



*Sandra Steffen*  
*Powód do dumy*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Steven Buchanan podniósł ostatni, dwudziestokilogramowy worek paszy i ruszył do furgonetki. Neil Anderson, kierownik sklepu z zaopatrzeniem dla rolników J.P. Feed & Ranch Supply pomógł mu wrzucić worek na platformę furgonetki.

- I znów upalny dzień.

Steven rzucił okiem na horyzont. Niebo było czyste, bez jednej chmurki, przedpołudniowe słońce grzało mocno. Tak, zapowiadał się gorący dzień. Magazyn J.P. Feed & Ranch Supply znajdował się blisko głównej ulicy. Najstarsi mieszkańcy twierdzili, że dawno temu jego ściany odmalowano, ale nikt nie mógł sobie przypomnieć, kiedy i na jaki kolor. To zresztą bez znaczenia, bo teraz był bladoszary, tak jak kowbojskie kapelusze wszystkich trzech braci Andersonów.

- Jake oczekuje twojego powrotu? - spytał Norbert, najstarszy z braci Andersonów. Steven wzruszył ramionami, na co Norbert mruknął: - Przychodzisz i odchodzisz, kiedy ci się żywnie podoba, pewnie z powodu upału.

- Albo z nudów - dorzucił Ned, średni z braci.

- O tak - stwierdził Neil, najmłodszy. - Nuda. Jedyna niezmienna rzecz w tym zakątku Dakoty Południowej.

W przeciwieństwie do innych samotnych mężczyzn w okolicy, Steven nie pragnął zmian. Poza tym, wbrew temu, co twierdzili tutejsi chłopcy, również w Jasper Gulch to i owo się zmieniało. Rodziły się nowe dzieci, które z czasem dorastały, dziewczęta wychodziły za mąż i wyjeżdżały z miasta, starzy mieszkańcy umierali. Powstawały nowe sklepy, inne bankrutowały, firmy zmieniały właścicieli. Jedną z takich zmian dotknęła również Neila, który kilka miesięcy wcześniej opuścił rodzinne ranczo, aby pokierować magazynem rolniczym. Neil odwalił kawał dobrej roboty, ale nadał nie był szczęśliwy. Ani on, ani żaden z Andersonów. Taki stan ducha był zresztą charakterystyczny dla większości mieszkańców Jasper Gulch. Ned i Norbert spędzali w magazynie brata tak wiele czasu, że okoliczni mieszkańcy zaczęli zastanawiać się, kto w tym czasie zarządza ranczera.

- Strzel sobie piwko dla ochłody i pogadaj z nami - zaproponował Neil.

Steven spojrział na Andersonów, którzy sączyli wodę sodową. Miał czas, ale nie zamierzał słuchać paplaniny o pogodzie i podatkach. Potem oczywiście zaczęłyby się narzekania na nudę w Jasper Gulch. Ile można o tym słuchać? Założył kapelusz i powiedział:

- Może następnym razem.

Wsiadł do furgonetki i przekręcił kluczyk. Powietrze sączące się przez otwarte okno było gorące i suche. Po-

stanowił zatrzymać się gdzieś na obiad, usiąść przy zacienionym stoliku i wypić dużą szklanekę lemoniady lub mrożonej herbaty. Miał trochę czasu, żeby snuć takie plany, ponieważ gdy wyjechał na główną, ulicę musiał przepuścić gromadkę członkiń klubu samopomocy sąsiedzkiej. Kilka lat temu Steve zaskarbił sobie sympatię niektórych z nich, albowiem poparł je w sporze z miejscowymi mężczyznami. Ci desperaci zamieszczali w prasie ogłoszenia, zachęcające kobiety z całego stanu do osiedlenia się w Jasper Gulch. Panie z klubu uznały, że to jawne zaproszenie dla amateerek awanturniczego trybu życia, zaś Steve zaprotestował z całym odmiennych powodów.

Dla niego nowe kobiety oznaczałyby... nowe kłopoty. Miejscowe dziewczyny wiedziały od dawna, że nie ma sensu próbować go usidlić. Steve miał natomiast pewne obawy co do przyjezdnych pań... A nuż próbowałyby zagiąć na niego parol? Na szczęście niewiele kobiet odpowiedziało na ogłoszenie. W dodatku, ku uldze członkiń klubu, żadna z nowo przybyłych nie okazała się amatorką mocnych wrażeń. Steven natomiast nie miał problemów, by przekonać większość nowych dziewczyn, że nie jest skory do żeniaczki.

Raz nawet usłyszał, jak jedna z pań, DoraLee Brown, orzekła tonem nie znoszącym sprzeciwu:

- Steven Buchanan to taki facet, którego można ucivilizować, ale nigdy oswoić. Miły dla oka, lecz szkodliwy dla serca.

Steven nie zwracał uwagi na swój wygląd i był zu-

pełnie zadowolony z cech charakteru. Jak twierdziła jego matka, jedno i drugie odziedziczył po ojcu, łącznie ze wszystkimi wadami i zaletami. To chyba dostatecznie tłumaczyło, dlaczego Steve Buchanan unikał wszelkich zobowiązań i odpowiedzialności. Nie wierzył, że kiedykolwiek się zmieni.

Steven niespiesznie mijał i pozdrawiał mieszkańców miasteczka. Nie urodził się tu i nie wychował, ale dawno przestał być traktowany jak przybysz z zewnątrz. Wszyscy już przyzwyczaili się do jego obecności.

Steven wiedział, że na zawsze zapamięta, jak i gdzie spędził pierwsze siedemnaście lat swojego życia. Nigdy nie narzekał. Miał dach nad głową, czasami nawet najadał się do syta. Szybko i bez niczyjej pomocy zrozumiał, na czym polega różnica między dobrem a złem. Nie zabijał, nie uciekał się do przemocy, nie kłamał i nie oszukiwał. Dobrze poznał smak samotności, zanim jeszcze nauczył się mówić. Umiał także tłumić popęd seksualny. Żył w celibacie, no, może od czasu do czasu zdarzały się jakieś przygody. Na przykład miesiąc temu, z pewną długonogą blondynką... Steve nadal często wspominał jej kręcone, złote włosy i ciepły uśmiech. A przecież tak bardzo próbował wyrzucić ją z myśli...

Nie miał zwyczaju ciągnąć do łóżka każdej ledwo co poznanej kobiety. Jednak tamtej letniej nocy powietrze aż wibrowało od erotyzmu. Sam do końca nie wiedział, jak do tego doszło, ale zarówno on, jak i Meredith Warner ulegli urokowi chwili. Nie miał czasu tego analizować,

zupełnie zapomniał o zdrowym rozsądku. Liczyła się tylko chwila obecna...

Ostrzegawcze ukłucie gdzieś w okolicach serca przypomniało o rzeczach, o których wolał nie myśleć. Zrobiło mu się gorąco. Mimo wczesnej pory postanowił pojechać do „Szalonego Konia” na piwo. Rzucił ostatnie spojrzenie na ulicę, aby sprawdzić, czy może bezpiecznie zawrócić. I to był poważny błąd... Co go podkusiło, żeby spojrzeć na dwie kobiety rozmawiające przed budynkiem po drugiej stronie ulicy? Jedna z nich miała długie nogi i lśniąco blond włosy. Odwróciła się, spotkali się wzrokiem. Dreszcz przeszedł mu po plecach, ale nie mógł przestać patrzeć. Zatrąbił klakson. Steve gwałtownie skręcił. Meredith Warner znów była w mieście.

Miesiąc temu Steve myślał, że Meredith zostanie tu tylko na jakiś czas, ale słyszał, że wróciła na dobre. I oto była tu we własnej osobie. Nie mógł dojrzeć koloru jej oczu, jednak wiedział, że są ciemnobrązowe. To niesamowite, bo na ogół jasne blondynki są niebieskookie. Nie mógł zapomnieć momentu, kiedy odkrywał ją krok po kroku, gdy niespiesznie poznawał jej ciało. Westchnął, odwrócił wzrok od kobiet, docisnął pedał gazu i wyjechał z miasta.

- Na twoim miejscu trzymałabym się z dala od tego człowieka... - Meredith musiała ochłonać po tym, jak zobaczyła znikającą za rogiem zakurzoną ciężarówkę, Zastanawiała się, dlaczego nikt nie udzielił jej takiego ostrzeżenia miesiąc temu.

Teraz już było za późno. Poza tym obiecała sobie przecież, że nie ma sensu żałować dawnych uczynków. Koniec z oglądaniem się w przeszłość, snuciem rozważań, czy mogło być inaczej. Nie wróciła jeszcze do siebie po tragicznej śmierci jedynej siostry i szwagra, którzy zginęli w wypadku samochodowym. Poza siostrzenicą i siostrzeńcem nie miała nikogo. Otwarcie sklepu z antykami i wyposażeniem domu było mądrym posunięciem. Dzięki temu będzie mogła zacząć wszystko od nowa. Życie ma swoje prawa. Teraz już za późno, aby pogodzić się z Kate, ale mogła przynajmniej zadbać o to, by nie utracić więzi z dziećmi siostry, Loganem i Oliwią.

Meredith miała niespełna trzydzieści lat i starała się dokonywać właściwych wyborów oraz postępować i żyć w zgodzie z własnym sumieniem.

- Nazywa się Steven Buchanan - dodała Jayne. - Złamał serce prawie/wszystkim dziewczynom w mieście. To skomplikowany mężczyzna. Jak wszyscy, prawda?

Meredith popatrzyła uważnie na przyjaciółkę. Od wszystkich słyszała, że mężczyźni są prostolinijni. Ona zaś uważała, iż nic nie jest proste, a już na pewno nie mężczyźni. Jayne, cudowna dziewczyna, która wychowywała siostrzeńców Meredith, podzielała jej zdanie.

- Meredith?

Tak, Meredith i Jayne wyznawały podobną filozofię życiową. Obie uważały, że świat staje się coraz bardziej zwariowany i skomplikowany.

- Meredith?

Poznajesz jakiegoś faceta i nagle życie wymyka ci się spod kontroli. Tak właśnie stało się owej nocy miesiąc temu. Wciąż nie mogła otrząsnąć się z szoku po śmierci Kate i Dusty'ego. Właśnie w tym momencie poznała Stevena Buchanana. Spojrzeli na siebie i... już nie mogli oderwać od siebie wzroku. Wokół szalała burza, toteż Meredith tym bardziej ochoczo rzuciła się w ramiona niemal zupełnie obcemu mężczyźnie. Była jednak głupia, uważając, że te kilka cudownych godzin, jakie razem spędzili, wyrze na nim równie silne wrażenie, jak na niej. Oczywiście, tak się nie stało.

Obawiała się ich ponownego spotkania, nie chciała, by ożyły wspomnienia o tamtej wspólnej nocy.

- Ziemia do Meredith...

- Tak, Jayne?

- Na pewno chcesz, żeby dzieci zostały dziś u ciebie? Mogę się wymigać od tego służbowego obiadu.

- Poradzę sobie, przecież to tylko godzina.

Poczuła ulgę, gdy zauważyła zbliżającego się kowboja. Był w towarzystwie dziesięcioletniego chłopca i pięcioletniej dziewczynki. Pierwszy raz od śmierci Kate i Dusty'ego Meredith widziała dzieci z Wesem i Jayne Strykerami. Poczuła ukłucie w sercu. Byli tacy szczęśliwi. Rozumiała, dlaczego Jayne i Wes boją się, że ona odbierze im dzieciaki. Nigdy w życiu nie podjęłaby takich działań, po prostu chciała uczestniczyć w wychowywaniu siostrzeńców.

- Cześć, ciciu - zawołał Logan.



- Ciociu Meredith, spójrz tylko! - Oliwia trzymała w rączkach zniszczonego pluszowego misia. - Jayne poprosiła mamę Kelseya, żeby zrobiła dla Przytulaka inne oczy, teraz wygląda jak nowy.

- Przytulak nie wygląda jak nowy - zaprzeczył Logan.

- Wygląda.

- Nie wygląda.

- Ja i mój brat byliśmy tacy sami - powiedziała Jayne.

- Kate i ja też.

- A zatem dobrze wiesz, jak sobie radzić z takimi urwisami.

Wes zwrócił się do dzieci:

- Wróćmy za godzinę, postarajcie się być grzeczni.

Dzieciaki ruszyły przodem, Meredith pospieszyła za nimi. Wręczyła Loganowi klucz do sklepu.

- Otwórz drzwi, dobrze? Wpuścimy tu trochę świeżego powietrza.

Logan pobiegł na zaplecze, dzwoniąc kluczami i tupiąc niemiłosiernie, aż wszystko zaczęło drżeć jak podczas trzęsienia ziemi. Meredith westchnęła, rozglądając się po wnętrzu". Wszystko co miała, zainwestowała w ten sklep - mnóstwo energii i długoletnie oszczędności. Podobał jej się budynek, który wybrała. Dawniej mieścił się tu sklep z meblami. Remont miał się już ku końcowi. Każdego dnia pracowała ciężko od rana do wieczora, żeby jak najszybciej otworzyć sklep.

- Ciociu Meredith, Oliwio! --zawołał Logan. - Zobaczcie, znalazłem koteczkę z małymi.

Logan klęczał przy drzwiach prowadzących na zaplecze.

- Musiała urodzić je niedawno, bo jeszcze są brzydkie i mają zamknięte oczy.

- Wcale nie są brzydkie! - zaprotestowała Oliwia. - Są piękne. Ile ich jest?

- Sześć.

- Sześć?! - wykrzyknęła Meredith. Co, do licha, zrobisz z kotką i sześcioma kociętami?

- Czekajcie, pomyliłem się, siedem.

- Siedem? - zapytała Meredith. - Jesteś pewien?

;- Tak. Wujek Wes mówi, że siódemka to szczęśliwa liczba.

- Jesteśmy szczęściarzami! - krzyknęła Oliwia. - Prawda, ciociu?

Meredith spojrzała na kocicę z siedmioma małymi, a potem na ciemnowłose dzieci o jasnyniebieskich oczach. Tak bardzo przypominały swoją matkę, że poczuła ukłucie w sercu.

- Siedem kociaków - stwierdziła Oliwia. - I mama. Trzeba będzie wymyślić dużo imion.

- Kotki muszą teraz pospać - odparła Meredith. - Skoro tak lubicie wymyślać imiona, to może pomożecie mi nazwać jakoś mój sklep?

- Chcesz nazwać budynek? - spytał z dezaprobatą Logan.

- Nie budynek, głuptasie, tylko sklep. To powinno być coś wyjątkowego...

Dzieci patrzyły na nią bez słowa przez całe pięć sekund, a potem porozumiały się wzrokiem.

- Tego białego powinniśmy chyba nazwać Puszek - odezwała się Oliwia.

- A tego z dwoma białymi łapkami...

- Białołapek? - odpowiedziała Oliwia.

- Nie, głupia. Bucik.

Dzieciaki spędziły następną godzinę na wymyślaniu imion dla kotów, których Meredith i tak nie mogła zatrzymać. Logan robi dla nich posłanie w starej szufladzie, zaś Oliwia próbowała przekonać kocią nianię, że nie zamierza skrzywdzić jej młodych, a tylko chce przenieść je w bezpieczniejsze miejsce.

Zanim wróciła Jayne, wszystkie kociaki były porządnie wygłaskane, a trzy z nich miały już imiona. Natomiast dyskusja na temat imion dla pozostałych kotów stawała się coraz bardziej zażarta. Boże, te dzieci kłóć się o byle drobiazg, pomyślała z niepokojem Meredith.

- Kotka nie może nazywać się Haley! - wykrzyknął Logan.

- Nazwę ją, jak będę chciała.

- Nie możesz.

— Mogę.

- Nie możesz nazwać kota ludzkim imieniem. Powiedz jej, ciociu.

Zanim Meredith zdążyła otworzyć usta, Oliwia odparowała:

- Trzy koty nazwaliśmy: Carolyn, Sherilyn i Tom. To też są ludzkie imiona. Nie chcesz nazwać tej koteczki

Haley, bo całowałaś się z Haley Carson, a ona dała ci potem kosza.;

Meredith postanowiła zainterweniować.

- Oliwia, nie dokuczaj Loganowi. Nie sędzę, żeby ta kotka przypominała mu Haley. Poza tym całowanie jest sprawą prywatną.

- Całowanie jest obrzydliwe - powiedziała Oliwia. - Nie sądzisz, ciociu?

Patrzyły na nią dwie pary niebieskich oczu. Całowanie?

- A więc... hm. To jest tak...

Dzwonek do drzwi wejściowych wybawił Meredith z opresji. Ciekawe, co odpowiedziałyby dzieciom. Obrzydliwe? To zależy od tego, kto całuje. Całe szczęście, że Jayne już wróciła...

- Zobaczymy się wieczorem, na spotkaniu rady miasta - rzuciła Jayne, zabrała dzieci i wyszli.

Och, jak dobrze. Meredith już się martwiła, że znów spędzi samotny wieczór w sklepie. Tymczasem będzie miała okazję poznać mieszkańców miasteczka. Chyba ją zaakceptują?

Tak, właśnie o tym marzyła, by znaleźć swe miejsce na ziemi, wtopić się w jakąś społeczność. Chciała również być blisko siostrzeńców i odnieść sukces w interesach oraz ułożyć sobie życie osobiste. W tej ostatniej dziedzinie nie radziła sobie najlepiej, ponieważ z uporem migąła się od randek z tutejszymi kawalerami. Jeśli nie chciała przysporzyć sobie wrogów ani ranić niczyich uczuć, będzie musiała wykazać się dużym taktem. W Jasper Gulch brakowało wol-

nych kobiet. Chyba wszyscy kawalerowie w mieście rozpaczliwie poszukiwali towarzyszkę życia. No, może wszyscy oprócz Stevena Buchanana.

Otrząsnęła się z rozmyślań i wróciła do pracy. Zdziwiała, jak często wspominała Stevena. Jego pocałunki, dotyk, pieszczoty... W pewnej chwili Meredith uwierzyła, że nie tylko ich ciała, ale także dusze stopią się w cudowną jedność. Gdy było po wszystkim, oboje zrozumieli, że popełnili wielki błąd... Połączyła ich samotność, nic więcej. To za mało, by zbudować głęboki i trwały związek. Spędzili w swoich ramionach kilka krótkich godzin, podczas których zapomnieli o codziennych kłopotach i uciekli w krainę marzeń.

Nie widziała Stevena od tamtego wieczoru, aż do dziś. Myślała o nim wiele razy, głównie wtedy, gdy powtarzała sobie, że musi o nim zapomnieć. Nie żałowała swej decyzji, dopóki ich wzrok nie spotkał się. Coś między nimi zaiskrzyło. Mogłaby przysiąc, że Steven też nie umiał wyrzucić jej z pamięci.

Meredith wyprostowała się powoli. Znow zrobiło jej się słabo, poczuła gwałtowny zawrót głowy. Rzuciła okiem na przeznaczoną do sprzedaży sofę, marząc o choćby kilkuminutowym śnie. Jednak nie było na to czasu. Miała nadzieję, że nie dopadła jej grypa.



## ROZDZIAŁ DRUGI

- Cześć, Steven. - Neil Anderson zajął jedno z ostatnich wolnych miejsc. - Nie pamiętam już, kiedy widziałem cię na takim spotkaniu.

Co mógł odpowiedzieć? Nie uczestniczył zbyt aktywnie w życiu miasteczka. Mieszkańcy uważali, że jest odludkiem i dziwakiem. Nikt nawet nie podejrzewał, jaki jest prawdziwy powód jego zachowania. Dziś wieczorem przyszedł tylko dlatego, że zobowiązał go do tego jego szef, a zarazem przyjaciel i prześladowca w jednej osobie, Jake McKenna.

- Słyszałeś pewnie, że Jayne Stryker ma przyprowadzić nową babeczkę, co?

Steven uniósł brwi. Czyżby chodziło o Meredith? To wyjaśniałoby, dlaczego zebrało się tu aż tylu samotnych facetów.

Steven rozsiadł się wygodnie na starym krześle. Rozejrzał się wokół. Rozpoznał wszystkich obecnych, ale nie dostrzegł Meredith.

Luke Carson wypisał porządek obrad na tablicy i uderzył młotkiem w stół. To on, jego brat Clayt i ich przyjaciel, Wyatt McCully, postanowili zwabić trochę wol-

nych kobiet do Jasper Gulch, zamieszczając w lokalnej gazecie oryginalne ogłoszenie. Wszyscy trzej byli już żonaci. Luke i Wyatt z pierwszymi dwoma kobietami, które tu przybyły, a Clayt z miejscową dziewczyną, Melody.

Obrady na temat bieżących problemów skończyły się zaskakująco szybko, lecz wcale nie z powodu jednomyślności obecnych. Wszyscy spieszyli się, by poznać nową mieszkankę Jasper Gulch. Steven poczuł na plecach czyjś wzrok, toteż odwrócił się powoli. Meredith stała blisko drzwi, patrząc wprost przed siebie. Wydawała się zdenerwowana. To dziwne, bo miał ją za odważną kobietę. Odniósł wrażenie, że jest osobą zdecydowaną, która wie, czego chce. Nie ukrywała swych pragnień, przypomniał sobie, i natychmiast poczuł podniecenie.

Luke ponownie stuknął młotkiem.

- Proszę o uwagę. Jayne Stryker, przyprowadziła kogoś, kogo chciałaby nam przedstawić.

- Nareszcie - rozległy się głosy.

- W samą porę! - krzyknął ktoś głośno.

Zaskrzybiały krzesła większości mężczyzn siedzących z przodu. Grube brzuchy zostały wciągnięte, paski poprawione; każdy starał się zaprezentować jak najlepiej.

- Moi drodzy, to jest Meredith Warner, ciotka Logana i Oliwii - zagaiła Jayne. - Wszyscy już chyba słyszeli, że otwiera w naszym mieście sklep ze starymi meblami. Zaprosiłam ją, by opowiedziała nam o swoich planach na przyszłość. Z pewnością nie. macie nic przeciwko temu, że spotkanie przedłuży się o kilka minut.

Mieliby protestować? Cóż za niedorzeczny pomysł! Przecież przyszli tu wyłącznie dla Meredith!

Meredith odwróciła się do tłumu. Zwilżyła usta, co stanowiło poważny błąd, o ile nie miała zamiaru zostać bohaterką męskich fantazji.

- Jak wspomniała Jayne, lada dzień otwieram w miasteczku sklep z antykami. Wierzę w sukces tego przedsięwzięcia, ale teraz, prawdę mówiąc, jestem bardzo zdeenerwowana tym wystąpieniem.

- Wyobraź sobie, że jesteśmy nadzy - wyszeptał jeden z młodzieńców, wystarczająco głośno, żeby usłyszała.

- O nie - odparła, spoglądając na Bena Jacobsa. - Nie mam najmniejszego zamiaru. Proszę zaoszczędzić mi tego typu uwag. - Z zaciętą miną przyjrzała się wszystkim obecnym. Steven zastanawiał się, czy jej wzrok zatrzyma się na nim dłużej niż na innych.

- Pracowałam w różnych zawodach, aby związać jakoś koniec z końcem. Przed przeprowadzką przepracowałam cztery lata jako architekt wnętrz w Minneapolis, wcześniej jako tapicer i malarz pokojowy. Uważam, że każdy dom to swoiste dzieło sztuki.

A zatem, pomyślał Steven, ona długo mieszkała w Minnesocie. To tłumaczy jej akcent. Zastanawiało go jednak, gdzie nabrała takiej ogłady i klasy. Jako osoba wykonująca dosyć nudne zawody, nie miała chyba zbyt wielu okazji, by rozwijać swą osobowość.

Steven zauważył, że większość obecnych gapi się na jej włosy. Wszyscy wydawali się wręcz zahipnotyzowani



tymi jedwabistymi splotami. Me słuchali tego, co mówiła, po prostu rozbierali ją wzrokiem.

Meredith nie była pulchna, ale przyjemnie zaokrąglona wszędzie tam, gdzie należy. Pamiętał świetnie te kształty, które pieścił dłońmi i ustami...

- I chciałabym zatrudnić praktykanta, może dwóch, bo potrzebuję pomocy przy szyciu.

Zaskrzyphiały krzesła, w powietrze poszybował las męskich rąk. To zamieszanie wyrwało Stevena z zadumy.

Ośmielona miłą, swobodną atmosferą, jaka zapanowała w sali, Meredith powiedziała wesoło:

— Przepraszam. Wolałabym zatrudnić kobietę.

- Masz jakieś uprzedzenia? - zażartował Ben Jacobs,

- Mertyl? - odezwała się Jayne Stryker. - Podnieś rękę.

Kiedy niska, szpakowata kobieta posłuchała, Jayne zawołała:

- Trzepnij Bena ode mnie po tym jego pustym łbie, dobrze?!

Po klepnięciu rozległo się mało przekonujące „Auu” oraz śmiech na sali.

- Celem naszych wysiłków - oznajmiła Jayne - jest stworzenie nowych miejsc pracy dla miejscowych dziewcząt. Chcemy, by pozyskały inne możliwości niż zostanie żoną właściciela rancza czy przeprowadzka do większego miasta. Czy są jakieś pytania do Meredith?

- Jesteś mężatką?

- Miałam na myśli pytania dotyczące sklepu - sprecyzowała Jayne.

-Czy to prawda, że mieszkasz nad sklepem?

- Podasz mi numer swojego telefonu?

- Czy lubisz blondynów?

Jayne załamała rękę.

- Jesteś zainteresowana seksownym facetem?

- Może wybierzemy się na kolację?

Pytania padały z oszałamiającą prędkością, ze wszystkich kątów sali. Meredith zastanawiała się, na które odpowiedzieć najpierw. Wprawdzie ogłoszenia w lokalnej gazecie informowały, że chłopcy z Jasper Gulch są nieco nieśmiali, a zarazem bardzo napaleni, lecz rzeczywistość przeszła jej najśmielsze oczekiwania. Zmodyfikowana wersja tego ogłoszenia powinna brzmieć, że tutejsi chłopcy są bardziej napaleni niż nieśmiali. Co zupełnie jej nie przeszkadzało...

Zanim otworzyła usta, żeby im spokojnie odpowiedzieć, stary mężczyzna, który przytrzymywał palcami szelki, wykrzyknął:

- Chłopcy, powinniście się bardziej wysilić. Zadawałiście te same pytania na spotkaniu z Jillian i Lisą trzy lata temu!

- Dobra, zadam inne - wypalił Ben Jacobs i odskoczył od Mertyl Gentry najszybciej, jak tylko mógł. - Zapomnij o wszystkich randkach i wyjdź za mnie.

- Publiczne oświadczyły też już były - oznajmił Luke Carson, energicznie stukając młoteczką, w stół.

- Wszyscy chyba pamiętają, co się stało tej nocy, gdy Wes Stryker opadł na kolana i poprosił Louette Graham

o rękę - powiedział stary Doc Masey.— Nie wyszło mu to na dobre.

Wszyscy pokiwali głowami, wszyscy, z wyjątkiem Wesa i Louette, którzy byli już po ślubie, tyle że z innymi partnerami.

- Słuchajcie - powiedziała Meredith, podnosząc do góry rękę. - Nie przybyłam do Jasper Gulch w odpowiedzi na wasze ogłoszenie.

- Nie? - Rozeszło się echem po sali.

- Przyjechałam tu, by być bliżej swoich siostrzeńców.

- I nie umówisz się z nikim na randkę?! - zawołał ktoś.

- W ogóle? - zapytał ktoś inny.

- Przynajmniej przez jakiś czas - odparła.

- Jak długo to potrwa?

Meredith nie zamierzała omawiać publicznie swych spraw osobistych, ale uznała, że coś jednak powinna odpowiedzieć.

- No... dopóki się nie zadamowię - zaczęła ostrożnie, uśmiechając się szeroko. - Mówiąc poważnie, obiecałam sobie, że przez rok nie będę podejmować nieprzeemyślanych i pochopnych decyzji.

Gdy skończyła, zorientowała się, że bezwiednie utkwiała wzrok w pewnych oczach o barwie soczystej zieleni. Steve wydawał się tak rozkojarzony że poczuła, jak zasycha jej w gardle.

Odchrząknęła i mówiła dalej:

- Zamierzam osiąść tu na stałe, dlatego muszę postępować tak, by potem niczego nie żałować.

Zmusiła się, by przenieść wzrok na inne osoby. Wyglądało na to, że o ile zaskarbiła sobie sympatię miejscowych pań, to mężczyznom jej przemowa nie przypadła do gustu. Jednak sukces przedsięwzięcia handlowego zależał przede wszystkim od przychylności mieszkańców, toteż pospieszyła z kolejnymi informacjami.

- Zapraszam wszystkich do mojego sklepu. Można rozejrzeć się, pogadać. Służę radą odnośnie wzorów i kolorów, a także wystroju wnętrz.

Z uśmiechem pożegnała się ze wszystkimi. Patrząc wprost przed siebie, ruszyła w stronę drzwi, starając się nie słuchać rozbrzmiewających wokół komentarzy.

Zanim zamknęła drzwi, odwróciła się i spojrzała za siebie. Słyszała, jak Luke Carson stuka młoteczkiem, ale nie mogła tego zobaczyć. Jej wzrok zatrzymał się na mężczyźnie, który nigdy nie zdejmował swojego kowbojskiego kapelusza. Zadrzała. Na szczęście drzwi zamknęły się, zanim zdążyła całkowicie utonąć w głębi tych zielonych oczu.

- Coś nie tak z tym piwem, skarbie? - spytała Dora-Lee Brown.

Steven spojrzał na nietkniętą butelkę piwa i powoli skinął głową.

- Chyba nie chce mi się pić.

Wypad do „Crazy Horse” wydawał się dobrym pomysłem, zwłaszcza że zarządzono godzinną przerwę w zebraniu. Na ogół Steven brał udział w rozmowach,

śmiał się i żartował z innymi, grał w karty i opowiadał dowcipy, ale dziś wszyscy plotkowali o Meredith Warner.

- Zamierza sprzedawać farby, łóżka, abażury do lamp - mruknął z pogardą Neil Anderson.

- Co gorsza, nie chce się z nikim umawiać przez najbliższy rok ~ dodał jego brat, Norbert.

- No, to po co wprowadziła się do miasta, w którym tak dramatycznie brakuje wolnych kobiet? Nie szuka życiowego partnera? - zastanawiał się Ben Jacobs.

- Kto chciałby tutaj rozkręcać interes?

Dlaczego Meredith zdecydowała się na otwarcie sklepu właśnie tutaj? - zadawał sobie w duchu pytanie Steven,

- W Jasper Gulch nie ma co liczyć na takie obroty, jak w dużym mieście.

To prawda. Meredith powinna otworzyć sklep w jakiejś innej, mniej sensnej okolicy, Steven lubił Jasper Gulch, ale nawet on musiał przyznać, że ta miejscina nie kipi życiem.

Rozmyślał o tym, w jaki sposób wzrok Meredith zatrzymał się na nim podczas zebrania. Zdarzyło się to dwukrotnie. Na nikogo innego nie patrzyła w ten sposób. Wiedział to, bo nie spuszczał jej z oczu.

Boże! A jeśli ona na podstawie swych obserwacji zobaczyła coś, czego zupełnie nie sugerował? Była przecież kobietą, a one lubią sobie wyobrażać Bóg wie co. Może przyjechała tu, bo doszła do wniosku, że namiętność, która ich niegdyś połączyła, przerodzi się w głębokie uczucie? A jeśli zamierzała uciec się do wyrafinowanych sztuczek, żeby się na nim odegrać? Co, jeśli...

Steven położył drobne na barze. Właśnie zapalił silnik w furgonetce, gdy zauważył, że w sklepie naprzeciwko pali się światło. Przeszedł przez ulicę. Postanowił złożyć Meredith niezapowiedzianą wizytę i sprawdzić, co się wydarzy.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi sklepowych.

Meredith zamrugała powiekami. Dźwięk dochodzący do jej uszu wydawał się równie głośny, jak wystrzał z armaty. Musiała zasnąć.

Pamiętała, że właśnie wyładowywała towar z kartonów, gdy ogarnęło ją straszne zmęczenie. Położyła się na sofie i zamknęła oczy, a potem pewnie zasnęła. Spojrzała na zegarek. O Boże, to było ponad godzinę temu. Podeszła do drzwi, następnie do okna. Na ulicy panowała cisza. Nie było tam nic poza kilkoma furgonetkami zaparkowanymi przed „Crazy Horse”.

Powoli odwróciła się od okna i postanowiła pójść na górę. Zgasiła lampkę, wzięła ze stolika telefon i wyrzała raz jeszcze przez okno.

Nagle usłyszała dźwięk dochodzący z zaplecza sklepu. Pomyślała, że to na pewno kocia mama drapie w drzwi, bo chce wyjść. Jednak kotka wyglądała na jeszcze bardziej zdenerwowaną niż jej opiekunka. Prężyła grzbiet, jakby szykując się do odparcia ataku.

Klamka drgnęła. Ktoś próbował wejść do środka. Meredith zbladła i poczuła ucisk w żołądku.

Pamiętała, jak kiedyś okradziono ją w Minneapolis. Złodzieje zabrali wszystko, zostawiając ją bez grosza

przy duszy i środków do życia. Teraz, gdy miała trzydziestkę na karku, była już zbyt zmęczona, by zaczynać wszystko od początku.

Klamka drgnęła ponownie, ale drzwi nie ustępowały. Meredith wpadła w panikę, zdała sobie sprawę, że nie zdąży uciec na górę. Zastanawiała się, czy cokolwiek w zasięgu jej ręki mogłoby posłużyć za broń. Spojrzała na telefon i szybko wykręciła numer na policję.

W tym momencie drzwi otworzyły się z hukiem. Było zbyt ciemno, żeby mogła zobaczyć intruza, ale wyraźnie widziała zarys jego sylwetki. Kotka parsknęła, a potem skoczyła. Mężczyzna zachwiał się, a wtedy Meredith chwyciła parasolkę i stanęła mu na drodze. Ponownie stracił równowagę i zawołał:

- Co jest, do diabła?

Poznała ten głos, a kiedy wyszedł z cienia, poznała też twarz. Steven wymachiwał rękami, aby odzyskać równowagę.

- Dlaczego to zrobiłaś?

Wstała zbyt energicznie i zrobiło jej się ciemno przed oczami.

- Próbuję... bronić mojego sklepu. --Twarz Steva stawała się coraz bardziej niewyraźna, a wszystko dookoła zaczęło wirować.

Meredith powoli odzyskiwała przytomność.

- Co się stało? Gdzie ja jestem? Co ty tu robisz?

- Źle się poczułaś, - W ustach Steve'a zabrzmiało to jak oskarżenie. Dopiero teraz zauważyła, że Steven trzyma ją w ramionach.

-- Puść mnie!

- Jesteś słaba. - Jego głos był szorstki i nieprzyjemny.

- Przestraszyłeś mnie.

- Czy zawsze mdlejesz, gdy się czegoś przestraszysz?

Nigdy wcześniej nie zdarzyło się jej zemdleć. Zaczęła się szarpać, ale Steve trzymał ją na tyle mocno, że zrezygnowała.

- Ciężko pracowałam, może trochę za ciężko, i jestem osłabiona. Poza tym chyba złapałam grypę.

Grypa w środku lata? Nieważne, i tak nie mógł teraz myśleć logicznie. Czuł jej wilgotny oddech na swojej twarzy. Pragnął przytulić ją jeszcze mocniej i całować bez końca.

- Steven - odezwała się Meredith - co ty tu właściwie robisz?

Steven nie wiedział, co odpowiedzieć. Postanowił jak najszybciej wziąć się w garść.

- Zobaczyłem światło i pomyślałem, że wpadnę pogadać.. Pukałem, ale nie otwierałaś. Pomyślałem, że coś się stało, więc spróbowałem wejść od tyłu.

- O czym chciałeś porozmawiać? - spytała spokojnie, a jej twarz wypogodziła się.

Steven natomiast wpadł w popłoch.

- Zamierzałem to i owo wyjaśnić.

Powoli pomógł jej wstać z podłogi. Byli tak blisko siebie, ich oddechy były przyspieszone i gorące.. Jeszcze chwila, a Steven zacząłby przypominać sobie smak jej warg, dotyk jej ust...

- Stać, ręce do góry!



Steve i Meredith podskoczyli przerażeni. Do sklepu wkroczył szeryf Nick Colter, trzymając w jednej ręce latarkę, a w drugiej pistolet.

- Nick - zawołał Steve. - Na Boga, nie strzelaj. Co tu robisz?

Nick opuścił broń, ale nie spuszczał wzroku ze Stevena. Podszedł bliżej i zatrzymał się koło lampy.

- Ktoś dzwonił z tego numeru po pomoc?
- Dzwoniłaś? - spytał Steve Meredith.
- Myślałam, że ktoś próbuje się włamać.
- Znacie się? — spytał szeryf, obserwując ich uważnie.
- Nie - odpowiedziała Meredith.
- Tak - odpowiedział w tej samej sekundzie Steve.

Spojrzeni na siebie i wzruszyli ramionami.

- Spotkaliśmy się kiedyś - sprostowała Meredith - ale tak naprawdę się nie znamy. Zasnęłam i nagle obudził mnie hałas - wyjaśniła. - Myślałam, że ktoś próbuje się włamać. To był fałszywy alarm, przepraszam.

Nick Colter i Steven byli tego samego wzrostu. Jednak Nick nigdy nie był ani nie zamierzał być kowbojem. Całe jego życie stanowiła praca w policji, a do Jasper Gulch przyjechał dwa lata temu z Chicago.

- Wygląda na to, że wkrótce rozpocznie pani sprzedaż?

- Planuję bankiet z okazji otwarcia w najbliższym tygodniu, mam nadzieję, że wraz z żoną zaszczycicie mnie swoją obecnością.

- Powiem Brittany. Dobranoc. - Szeryf zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Meredith uświadomiła sobie, że tuż przed przyjściem szeryfa Steven mówił coś do niej.

- Wróćmy do przerwanej rozmowy - zaproponowała.

Obserwowała go. Podszedł do drzwi i podniósł z podłogi kapelusz. Miał płynne, pełne gracji ruchy, zupełnie jak wielki kot.

- Nie ciągnę do łóżka każdej poznanej kobiety. - Taki wstęp nie wróżył nic dobrego. Meredith poczuła ukłucie w sercu. - Mam swoje powody - ciągnął dalej. - Większość kobiet marzy o stałym związku, pragnie poczucia bezpieczeństwa, a tego akurat nie mogę zaoferować.

Spojrzała na jego lewą dłoń.

- Nie jestem żonaty. To świadomy wybór i na pewno nie zmienię zdania w tej kwestii. - Jego spojrzenie było równie ostre, jak następne słowa. - Nie jesteś pierwszą kobietą, która próbuje mnie usidlić. Powtarzam tylko to, co powiedziałem ci w chwili poznania. Nie chce się żenić. Jeśli wróciłaś tu z mojego powodu, marnujesz czas. Przykro mi.

Wyprostowała się i pomyślała, że Steven Buchanan ma problem z okazywaniem uczuć, a takich mężczyzn kobieta powinna unikać. A tamtej pamiętnej nocy wydal jej się taki czuły, opiekuńczy i... chłopiący. Niestety, myliła się. Jak zwykle.

- Posłuchaj! Tamtego wieczoru byłam wstrząśnięta wiadomością, że Kate i Dusty nie żyją. Cierpiałam. Ty byłeś moim kołem ratunkowym. Nie przejmuj się, nie szukam męża, a nawet gdyby, byłbyś ostatnim, o którym

bym pomyślała. Teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym zostać sama.

Zanim Steven zdążył coś odpowiedzieć, już stał za zamkniętymi drzwiami.

Może nie powinien tak szybko kończyć znajomości, która mogła zaowocować kolejną piękną, namiętą nocą, ale dobrze wiedział, że prędzej czy później Meredith zechce wyjść za mąż, urodzić dzieci, mieć dom. Zapuszczała korzenie, a to była ostatnia rzecz, o której marzył. Dobrze! Tylko niech ktoś wytłumaczy to jego ciało, które tak żywiołowo reagowało na jej spojrzenie, uśmiech, subtelny zapach...

Meredith słuchała cichnących kroków Stevena. Odwróciła się od drzwi, sprawdziła, czy okna są dobrze zamknięte, pogasiła światła i poszła na górę.

Przygotowując się do snu, powtarzała sobie do znużenia, że właściwie nie ma się czym przejmować. Udało jej się zachować spokój podczas rozmowy ze Stevenem, chociaż była w bardzo kiepskiej formie. Bolał ją żołądek, pulsowało w skroniach. Miała nadzieję, że rano obudzi się zdrowa jak ryba.



## ROZDZIAŁ TRZECI

- Och - westchnęła Meredith, opierając się ciężko o umywalkę. Tak jak poprzedniego dnia, znów zwymiotowała całe śniadanie. Czuła się okropnie.

Dakota Południowa, oprócz porywistych wiatrów, ma do zaoferowania jeszcze jedno - odmianę grypy, której towarzyszą komplikacje żołądkowe i która wysysa z człowieka energię.

Meredith spojrzała na swe odbicie w lustrze i wzięła głęboki oddech. Mimo że sklep nie był jeszcze oficjalnie otwarty, w każdej chwili mógł przyjść potencjalny klient, a ona chciała zaprezentować się z jak najlepszej strony. Tymczasem wyglądała dosyć upiornie. Cera przybrała lekko zielonkawy odcień, pod oczami malowały się sińce. Wargi były spierzchnięte, zupełnie jakby całą noc nie spała. Wiedziała, dlaczego. Po prostu zbyt ciężko pracowała. Nic dziwnego, że jest wykończona, a w dodatku złapała grypę. Wczoraj przez cały dzień wyładowywała pudła z puszkami farb, rolkami tapet, zmywaczami, wałkami i innymi towarami. Każdy na jej miejscu czułby się jak z krzyża zdjęty.

Zwilżyła twarz chłodną wodą, posmarowała wargi

bezbarnym błyszczkiem. Właśnie nakładała róż na policzki, gdy rozległ się dzwonek. Odetchnęła głęboko i poszła otworzyć drzwi swemu pierwszemu klientowi.

- Chcieliby państwo zmienić wystrój swojego domu?  
- spytała Meredith parę siedzącą po drugiej stronie błyszczącego, dębowego stołu.

- Nie tyle zmienić wystrój — powiedział Jake McKenna - co urządzić na nowo. Dom należał do mojego ojca. To był bardzo surowy człowiek... Możliwe, że kochał mnie na swój sposób. Ten dom odzwierciedla jego osobowość, i my z Josie nie czujemy się tam dobrze.

Josie McKenna przeczesała długie, kręcone, rude włosy.

- Chciałam zająć się wszystkim sama, ale...

Jake ujął żonę za dłoń.

- Josie i tak pracuje zbyt ciężko. A teraz, gdy dziecko jest w drodze, nie powinna się przemęczać.

Spojrzeli na siebie z miłością. Meredith zaczęła zapisywać ich życzenia dotyczące urządzenia wnętrza.

Josie wydała jej się ciepła i serdeczna. Jake, właściciel drugiej co do wielkości farmy, był wyższy od żony o głowę. Traktował Meredith z rezerwą, ona jednak od razu wyczuła, że dla bliskich jest niezwykle czuły i troskliwy.

- Jake ma rację - powiedziała cicho Josie. - Czasami czuję się bardzo zmęczona, jednak chciałabym uczestniczyć w urządzaniu domu.

- Oczywiście - odparła Meredith z uśmiechem. - Na początek ustalmy, kiedy oprowadzisz mnie po domu.

- Może dziś po południu? - rzuciła Josie.

Entuzjazm tej rudowłosej dziewczyny był zaraźliwy. Meredith jednak odparła:

- Dzisiaj nie mogę. Obiecałam Wesowi i Jayne, że popilnuję dzieci.

- Weź je ze sobą - zaproponowała Josie. - Kelsey ucieszy się z towarzystwa.

Meredith zastanowiła się.

- Porozmawiam z Jayne i Wesem. Jeśli nie będą mieli nic przeciwko temu, wpadnę do was z dziećmi po południu. Jak tam dojechać?

Jake włączył się do rozmowy.

- Lone M jest dwadzieścia pięć kilometrów stąd.

Meredith starała się nie dać nic po sobie poznać, ale na nazwę Lone M aż się wzdrygnęła. Przecież to właśnie tara spędziła pół nocy w domu Stevena. Drogę znała doskonale.

Dwa dni temu Steve jasno powiedział, co sądzi na temat stałych związków. Jego słowa zabrzmiały ostro i jednoznacznie. Na pewno nie zamierzał powtarzać tego, co stało się miesiąc wcześniej.

Najgorsze, że Steven był prawą ręką Jake'a. Przyjęcie zlecenia od Josie i jej męża oznaczało, że Meredith będzie natykać się nieustannie na Stevena. Cóż, trochę kłopotliwa sytuacja...

Pięć minut po przyjeździe do Lone M Meredith mogła odetchnąć z ulgą. Nie spotkała Stevena.

Oglądanie domu zaczęli od kuchni. Meredith natychmiast zapomniała o problemach osobistych. Ten dom stanowił niezwykle wyzwanie. Josie już zrobiła wiele, by stał się przytulniejszy, ale Meredith wiedziała, że będzie mogła wykazać się swoimi umiejętnościami. Taka szansa od razu na początku działalności!

- No i co? - zapytał Jake, gdy zakończyli obchód.
- Kiedy możesz zacząć?

Meredith roześmiała się.

- Naszkicuję kilka projektów natychmiast po powrocie do domu.

Jake pocałował żonę i uściśnął rękę Meredith, po czym wyszedł na werandę. Meredith pożegnała się z Josie, potem zawołała:

- Logan, Oliwia. Czas już na nas!

Josie poszła odebrać telefon, a jej córeczka Kelsey, która przybiegła z Loganem i Oliwią, złapała Meredith za rękę i poprosiła:

- Chodź obejrzeć mojego źrebaka. Mój nowy tatuś obiecał, że pozwoli mi na nim jeździć.

Meredith spojrzała na sąsiednią posesję. Nie było śladu Stevena.

- —Dobrze, chętnie zobaczę twojego kuczka.
- To nie kucyk - usłyszała oburzony głos Logana.
- Kucyk to koń, który jest mały do końca życia, a źrebak to dziecko konia.

Jej dziesięcioletni siostrzeniec był bystry i spostrzegawczy, a poza tym uwielbiał zwierzęta. Szybko pod-

biegł do płotu i wyciągnął rękę do karej klaczy. Podeszła i polizała chłopca po szyi. Logan zachichotał, a Meredith uśmiechnęła się. Jest szczęśliwy, pomyślała. A jeszcze niedawno opłakiwał stratę rodziców...

- Dziewczynki podeszły do Logana. Chłopiec wyciągnął kilka kostek cukru z kieszeni džinsów.

— Proszę - dał je dziewczynkom. - Pamiętajcie, trzymajcie ręce luźno, a palce razem.

Dziewczynki skinęły głowami i zrobiły, jak im kazał.

- Pozwólcie spróbować cioci Meredith.

Meredith odwróciła się powoli. Steve stał kilka metrów od niej.

- No, spróbuj - zachęcił ją.

Wzięła głęboki oddech, położyła na dłoni kostkę cukru i podążyła za przykładem Oliwii i Kelsey.

- Wujek Steve! - wykrzyknęła Kelsey.

- Cześć, Ruda — Steven podszedł, wziął ją w ramiona i uściskał.

- Kiedy dasz mi się przejechać na Bonerze? - spytał Logan.

- Kiedy wuj Wes wyrazi na to zgodę.

- Meredith pomaga mamie urządzić dom - poinformowała Stevena Kelsey.

- Doprawdy?

Meredith poczuła, że się czerwieni.

- Dzieci - zaczęła - musimy...

-Pobawmy się! - przerwała jej Oliwia. - Kelsey. Logan, chodźcie.



- Oliwia, nie sędzę...

- W chowanego! - zawołał Logan. - Oliwia, ty kryjesz. No już!

Meredith pokręciła głową,

- Ależ to rozrabiaki.

Steven wzruszył ramionami i odrzekł:

- To dobre dzieciaki, tylko trochę rozbrykane. Jak ci się podoba w Jaspers Gulch? - spytał od niechcienia.

- Bardzo tu spokojnie.

- I to wszystko, co masz do powiedzenia?

Ogarnęła wzrokiem całą posesję. Wokół domu kwitły kwiaty, dalej rozciągały się zielone pastwiska.

- Czterdzieści siedem - liczyła Oliwia. - Pięćdziesiąt... szukam!

- Wszystko tu brzmi inaczej - powiedziała Meredith.

W tej samej chwili usłyszeli głos Logana,

- Nie policzyłaś do pięćdziesięciu. To oszustwo.

- Policzyłam i nie oszukiwałam.

Meredith i Steven wymienili porozumiewawcze spojrzenie.

- Wszystko tu brzmi inaczej - powtórzyła. - Nawet głos. Może dlatego, że nie słychać pisku opon, szumu silników ani trąbiących klaksonów.

Zastanowiła się, czy tęskni za miastem. Nie, chyba nie. Tu było o wiele spokojniej, życie toczyło się leniwie, ale nie brakowało atrakcji.

- Dzieci! - zawołała Meredith, powracając do rzeczywistości.

Rzecz jasna, nie zareagowały.

- Robią to często? - spytał Steve.

- Co? Kłóć się? Niestety tak.

Steve nasunął kapelusz na oczy.

- Któregoś dnia zrozumieją, że starczy miejsca na tym świecie dla nich obojga i nie muszą ze sobą współzawodniczyć.

Meredith wpatrywała się w jego profil.

- Byłeś jedynakiem, prawda?

Oczekiwała, że się uśmiechnie. Kiedy tego nie zrobił, spojrzała uważniej. Dostrzegła w jego oczach cień bólu. A zatem Steven Buchanan nie był takim beztroskim lekko-  
kodem, za jakiego chciał uchodzić.

- Musisz wrócić do drzewa i zacząć odliczanie od początku! - stwierdził Logan

- Nie!

- Tak!

- Logan i Oliwia są w tym wieku, że wszystko traktują jak rywalizację, swoisty konkurs - powiedziała Meredith. Coś jej zaświtało. - Właśnie!

- O co chodzi? - spytał Steve.

- Nie miałam pomysłu, jak nazwać mój sklep. Już wiem, będzie się nazywał „Konkurs”.

- Otwierasz firmę i nie masz dla niej nazwy?

- Nic nie przychodziło mi do głowy. - Zaświtał jej kolejny pomysł. Powinna ogłosić w Jasper Gulch konkurs na nazwę, a potem wybrać tę, która najbardziej jej się spodoba.

No i proszę! Szukała nazwy dla sklepu i sposobu na przyciągnięcie klientów. I nagle wpadła na pomysł, jak osiągnąć jedno i drugie.

- Słyszysz? Dzieci przestały się kłócić - zwrócił jej uwagę Sveve. - Hej! - zawołał - podarujcie nam jeszcze trochę tej błogiej ciszy, dobrze?

Kelsey zachichotała, kucając za krzakiem.

- Dzieciaki cię lubią - powiedziała Meredith. - Konie chyba też - dodała, obserwując, jak kara klacz delikatnie trąca jego dłoń.

- Dlaczego miałyby mnie nie lubić?

- Nie wiem.

- Cóż za precyzyjna odpowiedź. Myślisz, że trudno mnie polubić?

- Myśnię, że potrafisz być bardzo czarujący, jeśli tylko chcesz.

- Będę miał to na uwadze.

Nie musiał się specjalnie wysilać, i tak nie umiała się oprzeć jego urokowi. Uśmiechnęli się do siebie. Kiedy jego wzrok zatrzymał się na jej ustach, oboje poczuli, że ich wzajemne pożądanie jeszcze nie wygasło.

Meredith zastanawiała się co Steven ukrywa za tym zarozumiałym uśmiechem. Och na pewno coś ukrywa. Czowała to od chwili, gdy go zobaczyła po raz pierwszy.

- O co chodzi?

Nie przeprosiła nawet, że tak się mu przygląda.

- Myślę, że udajesz twardszego, niż jesteś w rzeczywistości. Co ty na to?

Steven nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie był przyzwyczajony do tak bezpośrednich kobiet. Kiedy Meredith odwróciła głowę, mógł podziwiać jej profil. Długie proste włosy, delikatna skóra na skroniach...

- Ależ jestem dokładnie taki, jakim mnie widzisz, Meredith.

Odwróciła głowę i przez dłuższą chwilę patrzyła mu z uwagą w oczy.

- Skoro tak twierdzisz...
- Jestem całkiem miłym facetem.
- Całkiem miły facet... Być może...

W przeciwieństwie do innych kobiet, nie próbowała go obłaskawić komplementami. Nie musiał wysłuchiwać bredni o swych niesamowitych zielonych oczach i męskularnym ciele. Meredith nie dybała na jego wolność. Może za wcześnie przerwał ich znajomość? Może powinien to wszystko jeszcze raz przemyśleć?

- Dlaczego się uśmiechasz? - spytała.
- Właśnie pomyślałem, że nie okazałem się zbyt gościnnie. Skoro jednak wiesz, gdzie mieszkam, możesz zawsze wpaść, będziesz mile widziana.

Steven miał pewność, że mogliby zostać z Meredith dobrymi przyjaciółmi, gdyby nie wzajemna fascynacja fizyczna. Nagle poczuł się bardzo samotny. Spokojnie, powiedział sobie. Pora zmykać, dopóki nie jest jeszcze za późno.

- Czuj się zaproszona - powiedział, otrzepując rondo kapelusza.

Cofnął się, otworzył drzwi stodoły i zniknął w jej zacienionym wnętrzu.

- Nie jest wam gorąco? - spytała Meredith, prowadząc samochód.

Oliwia siedziała obok niej, tuląc w ramionach wypchaną gęs i przymykając co chwila oczy.

- Trochę - odpowiedział z tylnego siedzenia Logan.  
- Wujek Wes mówi, że jest gorzej niż w piekle, ale jemu to nie przeszkadza.

- Lubicie upały? - spytała.

- Ja wolę jesień.

- Ja też - powiedziała Meredith.

Kiedy Logan się roześmiał, zawtórowała mu. Z dnia na dzień więź między nimi zacieśniała się. Nadal brakowało jej Kate. Nigdy nie wybaczy sobie, że nie zdążyła pogodzić się z siostrą. Udział w wychowaniu siostrzeńców traktowała jak wielkie i wspaniałe wyzwanie.

A co do Stevena... Jakoś to będzie. Gdyby poznali się w innych okolicznościach, gdyby nie zaczęli wszystkiego od końca, mogliby nawet zostać przyjaciółmi. Ale na to było już za późno.

Wyjechała na Old Strump Road, zakurzona i pełna dziur. Zwolniła. Było jej duszno. Zbyt duszno. Zawirowało jej w głowie.

Tylko nie to. Zatrzymała się na parkingu i wybiegła z samochodu.

- Co się stało? - zapytał Logan.

- Zaraz wracam.

W ostatniej chwili zdażyła dobiec do rowu.

Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Logan z Oliwią wysiedli z samochodu i przyglądają się jej podejrzliwie. W końcu dziewczynka odezwała się:

- Mama Kelsey też miewa takie przygody.

- Tak? - głos Meredith zabrzmiał jak z zaświatów.

Gdy otarła ręką twarz, zobaczyła, że cała lepi się od potu. Pomyślała, że powinna pójść do lekarza.

Oliwia nie dawała za wygraną.

- Jej mama wymiotuje każdego ranka.

Meredith zaburczało w brzuchu. Spokojnie, nakazała sobie w duchu. Próbując skoncentrować się na czymś innym, powtórzyła szeptem:

- Każdego ranka?

- Tyle że ona spodziewa się dziecka - zakomunikowała Oliwia.

- Ty też spodziewasz się dziecka, ciociu Meredith?

- spytał Logan.

- Słucham?

- Logan pyta, czy ty też będziesz miała dziecko? -

Oliwia pospieszyła bratu z pomocą.

Dziecko? Chciała się roześmiać, nawet spróbowała. Jednak nagle śmiech uwiązał jej w gardle. Zaraz, a jeśli...

Zwilżyła usta, postanawiając wziąć się w garść.

- Myślę, że po prostu mam grypę.

- Aha... - Oliwia nie kryła rozczarowania, natomiast Meredith gorączkowo zbierała myśli.

Logan nic nie powiedział, ale nadal przyglądał się badawczo Meredith.

- Na pewno mam gripę - powiedziała głośniej niż poprzednio.

- To lepiej, ciociu - podsumował Logan. - ponieważ nie jesteś mężatką.

- Oczywiście - odpowiedziała, wsiadając z powrotem do samochodu. - Zgadza się.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Meredith czuła się okropnie. Sen nie przyniósł ukojenia, obudziła się niewyspana i zmęczona. Odgarnęła włosy z twarzy i poszła do łazienki, gdzie czekał kupiony w aptece test ciążowy. Procedura była prosta, na wynik czekało się zaledwie kilka minut. Potem pojawiła się niebieska kreska.

Musiała zająć jakąś pomyłką. Przeczytała jeszcze raz instrukcję. Może coś się popsuło. Meredith westchnęła z rozpaczą i znów zrobiło jej się niedobrze. To nie było śmieszne. Obmyła twarz chłodną wodą i jeszcze raz spojrzała na pozytywny wynik testu.

Chwileczkę... Sprawdziła w kalendarzyku datę ostatniego okresu. Według obliczeń miesiączka spóźniała się ponad dwa tygodnie. Meredith była tak zajęta urządzeniem sklepu i przeprowadzką, że nawet tego nie zauważyła. Miała nudności i zawroty głowy, ale myślała, że to grypa... Tymczasem była w ciąży.

Wyobraziła sobie niemowlę w kocyku. Dziecko. Położyła obie dłonie na brzuchu. Tam dojrzewało nowe życie. Czy maleństwo będzie miało blond włosy i ciemne oczy? A może będzie zielonookie, tak jak Steve?



O mój Boże, Steven. Co ona najlepszego zrobiła?

Przyjechała do Jasper Gulch, ponieważ zamieszkali tu Logan i Oliwia. Miała zamiar ich lepiej poznać, chciała, by ją pokochali,

Co teraz zrobi?

Powoli wstała. Zbyt krótko mieszkała w Jasper Gulch, żeby mieć tu zaufanych przyjaciół, a rodzice już nie żyli. Pewnie Jane i Wes byliby zachwyceni, ale nie znała ich na tyle dobrze, by im się zwierzyć.

Jej matka zaszła w ciążę, gdy miała 17 lat. To był najważniejszy powód, dla którego młodzi się pobrali. Dwa lata później na świat przyszła Kate. Ich dzieciństwo nie było beztrioskie, obie dziewczynki marzyły o tym, by jak najszybciej wyrwać się z domu. Meredith próbowała szczęścia w Bostonie, Nowym Jorku, Chicago. Jedno lato spędziła w Nashville, jedną ciężką zimę w Kolorado, wreszcie osiadła na dłużej w Minneapolis.

Nagle, powróciły smutne wspomnienia. Kate odeszła z domu, gdy miała piętnaście lat. Siostry stopniowo traciły kontakt, stawały się sobie coraz bardziej obce. Gdyby tylko można, było cofnąć czas....

- Wszystko w porządku, jest pani zdrowa - oznajmił doktor Kincaid.

Meredith odgarnęła włosy z czoła i odetchnęła z ulgą. Trzydziestoletni Burke Kincaid był ubrany w białą bluzę od dresu i ciemne, spodnie. Studia medyczne skoń-

czył w Waszyngtonie. Przeprowadził się do Jasper Gulch ponad rok temu i przejął praktykę po starym Docu Masseyu. Meredith poczuła do niego ogromną sympatię od pierwszego wejrzenia.

Jest w ciąży, to pewne. Test, który zrobiła trzy dni wcześniej, nie mylił się. W tym czasie podjęła kilka ważnych decyzji.

- Jest pani mniej więcej w piątym tygodniu ciąży - powiedział doktor.

Ani mniej, ani więcej. Dokładnie pięć tygodni temu spędziła noc ze Stevenem.

- Jest pani trochę zbyt szczupła - powiedział doktor i dodał z uśmiechem: - Ale to się wkrótce zmieni.

Przepisał jej witaminy i zalecił, aby jadła jak najwięcej owoców, warzyw i produktów białkowych, a unikała tłuszczów i ostrych przypraw. Zapewnił ją też, że poranne mdłości to rzecz normalna.

- Zazwyczaj mdłości ustępują po miesiącu, dwóch. W tym czasie proszę często jeść i unikać stresu. Przy kolejnych wizytach porozmawiamy o porodzie. Czy ojciec dziecka będzie w nim uczestniczył?

Patrząc lekarzowi prosto w oczy, odpowiedziała:

- On jeszcze nie wie.

- A czy chciałby wiedzieć'?

- Nie wiem, doktorze - odparta szczerze.

Doktor skinął ze zrozumieniem głową.

- Jeśli nie ma pani więcej pytań, na dziś to wszystko. Zobaczymy się za miesiąc.

- Dziękuję, doktorze. Jeszcze jedno, byłabym wdzięczna, gdyby wszystko zostało między nami.

Lekarz uśmiechnął się.

- Gwarantuję pani dyskrecję. - Odprowadził ją do recepcji i pożegnał.

Wychodząc z gabinetu, czuła się spokojna. Co prawda trudno było przewidzieć, jak ułożą się jej stosunki ze Stevenem, ale tym postanowiła się na razie nie martwić. Jayne spodobał się pomysł, by ogłosić konkurs na nazwę sklepu. Kilku miejscowych kawalerów wpadło po zakupy, a prawie wszyscy zgłosili się do udziału w konkursie. Neil Anderson zaproponował, by sklep nazwać „Pod brzoskwinia”, od zapachu włosów Meredith. Mertyl Gentry dwa dni później zasugerowała nazwę „Perkalowy kącik”. Wielkie otwarcie miało nastąpić za dwa tygodnie. Wtedy nadejdzie pora, by ogłosić zwycięzcę.

Dwie godziny później Meredith była już u McKenów. Dość szybko wybrali tkaninę obiciową na sofę i fotele, ale nie mogli się zdecydować na kolor zasłon. Jake wręczył Meredith zaliczkę na pokrycie pierwszych wydatków. Nie chciała jej przyjąć, ale Jake nalegał. Twierdził, że tak właśnie należy postąpić.

Jego słowa nie dawały jej spokoju przez całą drogę do domu. Tak właśnie należy postąpić...

Była u lekarza, interes się rozkręcał, ale Steven wciąż nie wiedział o jej ciąży. W ciągu trzech dni przeżyła całą skalę emocji - od kompletnego szoku i ogromnego stra-

chu, po akceptacji faktu, że zostanie matką. Chciała tego dziecka. Po prostu. Ale wiedziała, co oznacza decyzja o samotnym macierzyństwie. To małe miasteczko... Ona zniesie ludzkie gadanie i wytykanie palcami, ale dziecko? Poczwała falę narastającego bólu. Nie wstydziła się. Nie żałowała. Co byłoby najlepsze dla dziecka? Czy powinno wiedzieć, kim jest jego ojciec? I czy Steven ma prawo wiedzieć?

Nagle zrozumiała, że tak, miał prawo wiedzieć. Zwolniła, popatrzyła w lusterko i ruszyła w przeciwnym kierunku.

Steven wszedł do stajni i zbliżył się do żrebaka.

- Co, malutka? - rzucił pieszczotliwie.

Poklepał ja po zadzie i wyprowadził z boksu. Razem z chłopakami wypuszczał po kolei wszystkie konie na pastwisko, gdy na horyzoncie dojrzał samochód Meredith. Buck i Billy też zauważyli jej staromodnego sedana. Przypomniał im się konkurs jaki ogłosiła. Zwycięzca miał prawo zmienić za darmo wystrój wybranego przez siebie pomieszczenia. Obaj byli zgodni, że mogła wymyślić o wiele atrakcyjniejszą nagrodę.

*Przez* krótką chwilę Steven miał ochotę schować się w stajni, choć zdawał sobie sprawę, że to dziecinne. Zupełnie jakby bał się rozmowy z Meredith...

Wiedział że nie przyjechała tu na miłą pogawędkę. Jak powinien zareagować, jeśli postanowi go upokorzyć lub ukarać? Nie, takie gierki nie były w jej stylu. Miała

klasę. Wiedział to od chwili, gdy pierwszy raz na nią spojrzął.

Jednak samochód Meredith nie skręcił na ranczo.

Żałował, że nie pojechał z Buckiem i Billym do „Szalonego Konia”. Przejrzał pocztę, trzy razy zajrzał do lodówki. Sięgnął po puszkę z gulaszem, ale zrezygnował i poszedł wziąć prysznic.

Woda leciała obfitym strumieniem, mocno uderzając o ramiona Stevena. Jego myśli krążyły wokół Meredith. Nieustannie. Zakręcił ciepłą wodę. Nie przepadał za zimnym prysznicem, ale czasami taka kuracja przynosiła ulgę. Jednym ruchem odkręcił do końca niebieski kurek. Skulił się i zadrżał. Istne szaleństwo... No cóż, to będzie kolejny nudny dzień. Steven był na siebie wściekły. Miał trzydzieści lat i uważał się za twardego, dojrzałego faceta. Dlaczego zatem nie umiał poradzić sobie z požądaniem do Meredith? Ze złością zakręcił wodę. Nie istniał problem, którego nie rozwiązałyby ostry galop na Bonerze.

Sięgnął po ręcznik, wytarł twarz i włosy, potem przepasał biodra i wyszedł z łazienki. Odruchowo zerknął przez okno. Meredith stała na schodkach, zaglądając przez szybkę do środka. Widząc ją, Steven lekko się uśmiechnął. To chyba będzie bardzo udany dzień...

Meredith wyteżyła wzrok, próbując dostrzec jakikolwiek ruch wewnątrz. Odczekała kilka minut i zapukała ponownie. Znowu bez efektu. Najwyraźniej nikogo nie

było w domu. Schodziła już ze schodków, gdy usłyszała dźwięk przekręcanego zamka. Steven stanął na progu, z nagim torsem, owinięty jedynie ręcznikiem. Odwróciła wzrok.

- Przyszłam nie w porę.
- Przyszłaś jak najbardziej w porę. Wejdz.

Była bardzo zdenerwowana. Jednak zamiast nudności poczuła dziwne ciepło.

- Myślałam, że nikogo nie ma w domu.

- Brałem prysznic. Wejdz. - Musiała się w końcu ruszyć, bo nagle znalazła się w przedpokoju. Steven zamknął drzwi i zachęcającym gestem zapraszał ją do środka. - To był długi dzień. Cieszę się, że wpadłaś..

Meredith zastanawiała się, jak rozpocząć rozmowę. Rozejrzała się po pokoju. Kiedyś ta część domu służyła za magazyn. Teraz stały tu wygodne meble. Było przytulnie, choć panował spory rozgardiasz.

- Ładnie się tu urządziłeś - mruknęła.

Podszedł bliżej, nic nie robiąc sobie z tego, że jest prawie nagi. Stał tuż obok niej. co niezwykle ją krępowało. Nie potrafiła zebrać myśli. Trochę nieprzytomnie wpatrywała się w jego lśniące czarne włosy, Zauważyła kilkudniowy zarost i pojedyncze włoski na klatce piersiowej. Potem przeniosła wzrok na szerokie nagie ramiona, na pięknie zarysowane mięśnie. Głośno przełknęła ślinę i odsunęła się.

- Nic tu się nie zmieniło. Meredith. Jest dokładnie tak samo. jak wtedy. O ile dobrze pamiętam, żadne z nas

nie koncentrowało się wtedy na wystroju. Pamiętasz tamtą noc, prawda?

Dopiero po chwili dotarł do niej sens jego słów.

- Dlatego właśnie tu jestem - odparła cicho.

- Jeśli cię to pocieszy, to ja też nie potrafię zapomnieć tamtej nocy. Fakt, że widuję cię tak często, niezbyt mi pomaga.

- Doprawdy?

Steven odgarnął włosy i podszedł bliżej.

- Wszyscy widzą, że jesteś piękna. Ale tylko ja wiem, jak głośno krzyczysz z rozkoszy, jak czułe są twoje usta, jak gładką masz skórę. Twoje ciało jest stworzone do miłości, stworzone po to, by doprowadzać mężczyzn do szaleństwa.

Otoczył ją ramionami, po chwili ich usta się spotkały. Tak samo zaczęło się tamtej nocy...

Tak, tak samo jak wtedy. Tyle że teraz odczuwała wszystko z większą intensywnością. To było coś więcej niż pożądanie. Coś więcej niż żądza. Tak długo była sama. Ale w ramionach Stevena szukała czegoś więcej, nie tylko bezpieczeństwa i ukojenia. Trwali tak nieruchomo, zwarci w pocałunku pełnym namiętności i pożądania. Meredith zapomniała, po co tu w ogóle przyszła, zapominała o wszystkim.

- Śniłem o tym. - Steven przerwał pocałunek, by móc jej o tym powiedzieć.

Kiedy Meredith otworzyła oczy, zdała sobie sprawę, że są w sypialni. Steven pewnym ruchem zsunął bluzkę z jej ramion. Zadrżała z podniecenia.

- Nie chciałbym, żeby historia się powtórzyła - wyszeptał niskim, ochrypłym z rozkoszy głosem. Zmierzała do łóżka. - Będziesz bezpieczna.

Zamrugnęła gwałtownie.

- Bezpieczna?

- Nie musisz się martwić, że zajdziesz w ciążę. - Gdyby tylko wiedział... Zaschło jej w gardle.

- Czy to byłby koniec świata? - zdołała wykrztusić i wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Wierz mi, świat nie potrzebuje kolejnego Buchana. A ja potrzebuję tego... - Znowu przesunął dłonią po jej ciele.

Meredith drżała pod jego dotykiem, ale nie mogła udawać, że wszystko jest w porządku. Steven musiał wyczuć jej narastający opór, bo zajął jej w oczy, a potem zanurzył dłoń w jej włosach. Zaczął ją głaskać, c/ule i łagodnie. Tak bardzo pragnęła poddać się ogarniającemu uniesieniu, drzeć pod naporem męskiego ciała. Ale teraz nie była już sama...

- Steven, musimy przestać,

- Kochanie, nawet nie zaczęliśmy.

- Mówię poważnie. - Zmusiła się do beztróskiego fonu i sztucznego uśmiechu. - Nie po to tu przyszłam. - Poczowała na sobie jego wzrok. Rzucona niedbale bluzka leżała na podłodze. Chwyciła ją i osłoniła nagie ramiona.

- Przykro mi to słyszeć. - Nie mówił serio. Jego zniewalający uśmiech, który przeczył słowom, Meredith od-



czytała jako zachętę, zaproszenie do miłości. Tak samo było owej pamiętnej nocy.

Tamta noc. Wtedy powołali do życia ich... jej dziecko. Zapinała bluzkę drżącymi rękoma.

- Muszę iść.

- Tak szybko? - spytał żartobliwie, a Meredith skrzywiła się. Nie było jej do śmiechu.

Podszedł tak blisko, że nie była w stanie zebrać myśli. Ręcznik zsunął się z jego bioder, a ona nie zdążyła odwrócić wzroku. Musi stąd natychmiast wyjść, byle tylko nogi nie odmówiły jej posłuszeństwa. Nerwowo przygładziła potargane włosy. Wybiegła, by znaleźć się jak najszybciej w samochodzie. Była już daleko, gdy zauważyła, że krzywo zapięła guziki. Zapomniała też o biustonoszu.

Nie zamierzała po niego wracać.

Steve usłyszał odgłos odjeżdżającego samochodu. Nie miał siły się poruszyć, od chwili gdy ręcznik zsunął się na podłogę. Włożył dzinsy i ruszył do wyjścia. Kiedy dotarł do drzwi, po aucie Meredith pozostały jedynie tumany kurzu. Stał tak, oddychając ciężko, dopóki nie opadł pył. Czul się oszukany. Meredith rozpałała na nowo jego pożądanie, a potem się wycofała. Czyżby chciała go w ten sposób ukarać? Nie, to nie w jej stylu.

Podrapał się po kilkudniowym zarostcie i powlókł się smętnie do domu. Musiał spokojnie przemyśleć kilka spraw.

No i odnaleźć zagubiony gdzieś zdrowy rozsądek.

Zimny prysznic, którym uraczył się rankiem, nie ostudził palącego pożądanego. Włożył koszulkę, wygrzebał parę skarpet, gdy nagłe coś przykuło jego uwagę. Schylił się i podniósł zapinkę od stanika. Zajrzał pod łóżko, do kosza, pod kredens. Tam znalazł biustonosz Meredith. Ze złością wcisnął na głowę zakurzony kapelusz. Nie zwlekając ani chwili dłużej, popędził do stajni. Że też nie pomyślał o tym wcześniej. Podczas przejażdżki na pewno upora się z natłokiem myśli.

- Jeszcze minutkę - rzucił do ukochanego konia.  
- Myślałem, że dziś jest mój szczęśliwy dzień, że spełnią się moje marzenia. - Boner parsknął w odpowiedzi.

Steven zarzucił ciężkie, skórzane siodło na grzbiet konia. Za szerokimi drzwiami stajni rozciągała się ziemia McKennów. Wielu marzyło o tych hektarach. Ale nie Steven. Nie miał wielu pragnień, a ostatnio koncentrował się tylko na jednym. Z pewną seksowną blondynką w roli głównej...

- Twierdziła, że nie przysłała się kochać. - Podciągnął popręg. - Co ją zatem sprowadziło? Dlaczego mnie powstrzymała? Mógłbym przysiąc, że trawił ją równie silny ogień, jak mnie.

Spojrzał w łagodne końskie oczy i westchnął ciężko.

- Pewnie zastanawiasz się, dlaczego z tobą o tym rozmawiam. Nie oczekuję, że zrozumiesz kobietę, skoro nawet ja tego nie potrafię.

Stevenowi nic dawała spokoju jeszcze jedna kwestia.

- Jeśli nie przyjechała, żeby się kochać, to co, u diabła, robiła w Lone M?

Jeździec i koń ruszyli przed siebie na powitanie zapadającego zmierzchu.

- Ciociu Meredith? - Otworzyła oczy i ujrzała stojącą w drzwiach dziewczynkę.

- Co, kochanie? - Meredith położyła się tylko na chwilę.. Miała nadzieję, że krótka drzemka pozwoli jej odzyskać siły przed wielkim otwarciem.

- Umierasz?

- Słucham? - Meredith natychmiast oprzytomniała. Uniosła ostrożnie głowę. Lekarz powiedział, że powinna unikać gwałtownego wstawania. To miało zmniejszyć prawdopodobieństwo wystąpienia mdłości. - Skąd taki pomysł? Co też przyszło ci do głowy?

- Logan tak powiedział.

Meredith spojrzała na zegar wiszący na ścianie, potem na Oliwię, która wyglądała uroczco w czerwonej sukience bez rękawów i białych sandałkach.

Na dole wszystko było gotowe. Pod stropem wisiły baloniki. Wszystkie sprzęty wypucowane na wysoki połysk. Pełna mobilizacja.

Minęły dwa tygodnie od nieszczęsnej wizyty u Stevena. Bała się, że on zażąda wyjaśnień, że będzie ją nachodził. Nic takiego nie miało miejsca, ale i tak pojawiał się w jej snach i myślach częściej, niżby chciała.

Prace u McKennów postępowały bez zakłóceń, zgod-

nie z harmonogramem. Dostarczono resztę mebli do sklepu. Farby i tapety sprzedawały się nadzwyczaj dobrze. Mogła zacząć zamawiać większe partie towaru. Konkurs na nazwę sklepu został oficjalnie rozstrzygnięty. Żona doktora Kincaida okazała się osobą o nieprzeciętnych zdolnościach plastycznych, toteż namalowany przez nią szyld prezentował się fantastycznie.

Meredith wzięła ciotkę za rękę. Meredith podniosła się i spokojnym krokiem weszła do pokoju, w którym Logan oglądał telewizję.

- Mam kilka minut. Usiądźcie.

- Wiedziałem. Jesteś chora, tak?

- Nie, Logan.

- Grypa nie trwa tygodniami - powiedział ze złością, ale za tymi słowami czał się strach. Strach dziecka, które już raz straciło najbliższych.

- To prawda, nie mam grypy.

- To co ci jest?

Spojrzała na dzieci. Pięcioletnia Oliwia miała wielkie, niebieskie oczy, tak samo Logan.

- Zatem - zaczęła - mam dobre wiadomości. Nawet bardzo dobre. Chciałam jeszcze trochę z tym poczekać, ale chyba nie ma sensu. Czy potraficie dochować tajemnicy? No jak?

- Ja potrafię, ale nie jestem pewien Oliwii.

- Też potrafię.

- Nie jestem chora, dzieci.

- Nie?

- To dlaczego bez przerwy...
- Będę miała dziecko - przerwała Loganowi. Uśmiechnęła się, ponieważ pierwszy raz powiedziała to głośno.
- Naprawdę?
- Naprawdę.
- To dlatego bez przerwy wymiotujesz?
- To tak zwane poranne mdłości, niedługo ustaną. Nie planowałam dziecka, ale teraz się cieszę. Uwielbiam być waszą ciotką, a teraz będę jeszcze matką.
- Myślałem, że by urodzić dziecko, trzeba mieć męża
- zdziwił się Logan,

Meredith nie chciała przedłużać rozmowy. Nie była przygotowana na podobne pytania i w tej chwili marzyła tylko o tym, by zostawiono ją w spokoju. Była jednak winna swym siostrzeńcom wyjaśnienia. Poza nimi nie miała nikogo bliskiego.

- To dobrze, jeśli rodzice biorą ślub, kiedy na świecie pojawia się dziecko. Tak być powinno, ale czasem zdarza się inaczej. Są różne rodziny.

- Ale ja, Logan, wujek Wes, ciocia Jayne i ty, wszyscy jesteśmy rodziną? - spytała Oliwia.

Meredith pogłaskała siostrzenicę po włosach. Nie mogła usłyszeć nic piękniejszego.

Logan zasepił się.

- Wyjdiesz za mąż?
- Nie wydaje mi się, kochanie.
- Wyjedziesz stąd? - spytała zaniepokojona Oliwia i zrobiła smutną minkę.

- Nie chcę tego robić. - Myśl o opuszczeniu siostrzeńców, jedynej rodziny, powodowała ogromny ból.

- Ty i Logan tu mieszkacie. Tutaj mam sklep, planowałam osiaść tu na stałe. Jednak jest kilka spraw, które jeszcze muszę przemyśleć. Nie chcę, by inni dowiedzieli się o dziecku, zanim podejmę ostateczną decyzję. Zachowajcie tę nowinę dla siebie, dobrze?

Dzieci ochoczo na to przystały.

- Będziesz gruba? - spytał Logan.

Meredith uśmiechnęła się i pieszczotliwie dotknęła brzucha.

- Już utylłam, a będzie jeszcze gorzej.

- To fajnie.

Logan i Oliwia bez trudu zaakceptowali takty. Meredith miała nadzieję, że mieszkańcy miasteczka okażą się równie życzliwi i tolerancyjni.

Zadzwoił dzwonek, sygnalizujący rozpoczęcie imprezy w sklepie. Boże, czemu to tak daleko? Doleciał ją szmer głosów, gdy powoli i ostrożnie schodziła po schodach. Jeden rozpoznała.

- Zgadnij, co się stało, ciociu Jayne? - Oliwia wyprzedziła Meredith. Litości, to dziecko miało głos przenikliwy jak stal.

- Co, kochanie?

- Ciocia Meredith będzie miała dziecko!

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Meredith stanęła na schodach porażona wyznaniem siostrzenicy. Na dole było kilkanaście osób. -Czy ktoś jeszcze usłyszał nowinę? Ona z godnością stawia czoło ludzkim plotkom, ale dziecko? Cóż ono zawiniło? Przecież nie wstydziła się, nie chciała ukrywać ciąży. Myślała **jednak**, że minie jeszcze **kilka miesięcy**, zanim wszyscy się dowiedzą. Oliwia nie dała jej wiele czasu.

Logan wpatrywał się w siostrę z **nieukrywaną** wściekłością. Skonfundowana zamilkła, **widząc** schodzącą ciotkę. Trzech braci Andersonów i kilku innych kowbojów, których znała z widzenia, siedziało przy olbrzymim starym stole. Tylko Jayne zauważyła jej pojawienie się. Może była też jedyną, która słyszała, słowa Oliwii. Boże, spraw, by tak się stało, modliła się **Meredith gorączkowo**.

-Dzwonek zadzwonił ponownie. W sklepie pojawili się Jake, Josie i mała **Kelsey McKenna**. Wszyscy chcieli uczestniczyć w uroczystym otwarciu, zwłaszcza że w **miasteczku** takie imprezy odbywały się niezmiernie rzadko.

Oliwia podbiegła do Kelsey. Obie znikły na tyłach.

sklepu, by zobaczyć, jak się mają kociaki. Jake i Josie z uznaniem rozglądali się po sklepowym wnętrzu. Meredith powoli wracała do rzeczywistości. Pokonując ostatni schodek, pocałowała stojącą na skraju schodów Jayne, która znacząco uniosła brwi.

- Nigdy nie ufaj pięciolatкови - szepnęła.

- Myślisz, że ktoś jeszcze słyszał? - spytała zaniepokojona, również szeptem.

- Więc to prawda? - Gdy Meredith potaknęła, Jayne uśmiechnęła się i połaskotała ją różowym boa, które zdobiło jej suknię. - Gratulacje. Opowiesz mi wszystko później - rzuciła cicho i z gracją wyszła z pokoju.

Meredith nie spotkała wcześniej równie ekscentrycznej kobiety, ale trzeba przyznać, że Jayne we wszystkim prezentowała się wspaniale. Nawet w ciuchach, w których inni budziliby powszechną wesołość. Obserwując ją, Meredith uświadomiła sobie, że Jayne nie odpowiedziała na jej pytanie. Mimo to poczuła się lepiej. Nie spodziewała się, że jej ciąża zostanie tak szybko zaakceptowana. Skoro Jayne okazała się taka tolerancyjna, może i pozostali mieszkańcy miasteczka odniosą się do niej z życzliwością.

- Witaj, Meredith. - Neil Anderson przeciął jej drogę, wymachując kapeluszem. Dosłownie pożerał ją wzrokiem. - Świetna impreza.

- Dzięki, Neil. Próbowalesz już ponczu i ciasteczek?

- Tak. Wyśmienite.

Znała Neila od kilku tygodni i zdążyli się już bardzo



polubić. Miał trzydzieści kilka lat, **był niezbyt** wysoki i nieco dziwaczny. **Meredith** rzuciła okiem na pozostałych mężczyzn. Odwrócili gwałtownie wzrok.

- A więc wiedzieli. Zrezygnowana, siląc się na uprzejmość, spytała Neila, czy ma do niej jakąś sprawę. Zaruszył się. Przełknął z trudem ślinę.

— Spokojnie - powiedziała i uśmiechnęła się - To nie jest zaraźliwe. Spojrzała mu w oczy, w ich szarej głębi dojrzała coś wzruszającego. Zawstydzony zerknął na jej lewą dłoń.

- Jesteś mężatką?

Uśmiechnęła się, kręcąc głową.

- Zaręczona?

- Jestem sama.

- To dobrze.

- Dziękuję ci, Neil, ale nie wydaje mi się, żeby wszyscy obecni podzielali twój pogląd.

- Nie przejmuj się ludźmi. Lubią pogadać, ale mają wielkie serca. Daj im szansę, a po jakimś czasie zaakceptują to. - Udzielił jej jeszcze kilku rad, a potem dołączył do braci.

Nie minęło wiele czasu, a cały sklep aż huczał od plotek. Ale o dziwo, Neil miał rację. Wszyscy okazali się nadzwyczaj serdeczni. Meredith coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Jasper **Gulch** to idealne miejsce do zamieszkania i wychowywania dziecka.

" Dochodziła już czwarta, poncz i ciasteczka znikwały w błyskawicznym tempie. Meredith szumiało w głowie

od nadmiaru wrażeń. Zdążyła już sprzedać trzydzieści litrów farby i jedną sofę. Co więcej, otrzymała trzy zaproszenia na randkę i dwie propozycje matrymonialne.

- Czas na finał! - Jayne przykuła uwagę wszystkich zebranych. - Przenieśmy się na zewnątrz.

Ponad dwudziestu gości wyszło na chodnik. W tym czasie Meredith przygotowała się do odsłonięcia ogromnego szyldu z wymalowaną nazwą sklepu.

- Świetna robota - stwierdził Forest Wilkie. - Kto by pomyślał, że mamy wśród nas prawdziwą artystkę.

- Będziesz nas tak długo trzymać w niepewności?!  
-zawołał Butch.

Meredith przedarła się przez tłum.

- W niepewności?

- No tak. Powiesz nam w końcu, jak nazwałś sklep, czy mamy zgadywać?

- Jak się nazywa? - Meredith zaschło w gardle.

- Butch ma chyba na myśli imię osoby, która wygrała konkurs - szepnęła Jayne.

Ach tak. Oczywiście. Chcieli po prostu wiedzieć, kto wygrał. Odetchnęła z ulgą i zmusiła się do uśmiechu.

- Przede wszystkim chciałabym podziękować wszystkim za tak duże zainteresowanie. Zgłoszono bardzo dużo propozycji. Wiele z nich przypadło mi do gustu, dlatego miałam kłopoty z wyborem. Po długim namyśle ograniczyłam się do czterech nazw. „Kocie Antyki” brzmi wspaniale, ale asortyment sklepu jest znacznie szerszy, niż sugeruje ta nazwa. „Brzoskwiniowy Róg” też mi się po-

dość, tylko że sklep wcale nie mieści się na rogu ulicy. „Piwnica Kate” podbiła moje serce, zwłaszcza że to pomysł Logana i Oliwii, upamiętniający ich matkę, a moją siostrę.

- Ale kto jest zwycięzcą? - niecierpliwiła się Melody Carson.

- Właśnie, kto wygrał? - Meredith wzięła głęboki oddech, by jeszcze przez chwilę podtrzymać napięcie, gdy nagle usłyszała dochodzący z daleka niski głos.

- Wydaje mi się, że ja.

- Kto to powiedział? - spytało kilka osób.

Meredith o mało nie straciła równowagi. Znała dobrze ten głos. Tłum rozstał się. Steven szedł w jej kierunku spokojnym krokiem, skrywając wzrok pod rondem kapelusza.

- Brałeś udział w konkursie? - spytał Neil Anderson.

- Niezupełnie - odpowiedział, nie odrywając oczu od Meredith.

- Zatem nie rozumiem, jak...

Meredith chrząknęła niewyraźnie. Wiedziała, że musi się w końcu odezwać.

- Steve nie brał oficjalnie udziału w konkursie. Ale to on podsunął mi nazwę "Ukryte skarby".

- Wygląda na to, że Steve zgarnie nagrodę - rzucił któryś z mężczyzn.

- Niektórzy całe życie mają szczęście - odezwał się inny, klepiąc Stevena po plecach.

Jayne klasnęła w dłonie.

- Myślę, że pora się zbierać. Przyjęcie skończone. Dziękuję wszystkim za przyjęcie.

Goście, jeden po drugim, żegnali się z właścicielką sklepu. Część udawała się na pobliski parking, inni kierowali się do „Szalonego Konia”. Meredith zostawiła Jayne przed sklepem, a sama wróciła do środka, gdzie czekały na nią zużyte plastikowe kubki i talerze. Próbowwała zebrać myśli, opanować nerwowe drżenie rąk. Podniosła z podłogi dwa wielkie balony wypełnione helem, gdy rozległ się dzwonek. Ktoś wszedł do sklepu.

- Jayne, myślisz, że Logan i Oliwia chcieliby zabrać balony do domu?

Cisza.

- Jayne?

- Wysłałem Jayne do domu, Meredith.

Znowu ten głos. Powoli się odwróciła. Wzięła głęboki oddech. Było zbyt ciemno, by dojrzeć wyraz jego oczu. A może i tak nie zdołałaby nic z nich wyczytać. Siedem tygodni temu jeden promienny uśmiech tego mężczyzny odmienił jej życie na zawsze.

Teraz Steven się nie uśmiechał. Czuła jednak, że realizuje jakiś plan, że przyszedł tu w bardzo konkretnym celu.

- To był bardzo ciężki dzień, więc jeśli nie masz nic przeciwko...

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia? - spytał, zbliżając się powoli. Serce zaczęło jej bić jak szalone.

- Sklep jest już zamknięty, Steven. Więc jeśli mógł-

byś... - Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Zaczęła rozwiązywać poplątane sznureczki balonów.

Steven zrozumiał aluzję, ale zamiast się wycofać, śledził każdy jej gest. Kilka tygodni wcześniej odwiedził jej sklep. Gdyby nie podbiegł wystarczająco szybko, osunęłaby się na podłogę. Zemdląła. Teraz wiedział, dlaczego tak się stało.

- Jesteś w ciąży. - Nie mógł nic poradzić na to, że jego głos zabrzmiał oskarżycielsko.

- Dowiedziawsz się.

I to wszystko? Tylko tyle miała mu do powiedzenia?

- Tutaj nowiny rozchodzą się z prędkością światła. Inaczej niż w dużym, mieście.

- Zauważyłam.

Steven dobrze wiedział, że plotki mogą zniszczyć reputację najporządniejszej kobiety. Znał ten mechanizm. Ale Meredith była silna i niezależna, z pewnością nie bała się ludzkiego gadania. Nie bardzo wiedział, czy brnąć dalej.

- Więc? - zapytał.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Więc co? -- odparła zaczepnie i uniosła buntowniczo brodę.

- Może mi powiesz, kto jest ojcem?

Zacisnęła powieki, po jej twarzy przemknął grymas. Steven był zadowolony, że wreszcie udało mu się wytrącić ją z równowagi, zburzyć ten sztuczny spokój.

- Mam tylko nadzieję, że nie zamierzasz mnie w to wrobić? Meredith?

Balon wyleciał jej z rąk i poszybował w górę.

- Wrobić cię?

- Przyznaję, że byłem bardzo lekkomyślny tamtej nocy, ale nie bezmyślny.

Im dłużej na niego patrzyła, tym większą miała ochotę rzucić się na niego z pięściami.

- Chcesz, bym podała ci nazwisko? - spytała, z trudem kontrolując emocje.

Udawał, że nie wyczuł jej napięcia. Nie oczekiwał szczegółowych zeznań, nie chciał znać ojca dziecka. Chciał jedynie usłyszeć zapewnienie, że on nie ma z tym nic wspólnego.

- A może mam sporządzić listę wszystkich kochanków? W porządku alfabetycznym? Jak daleko mam się cofnąć? Pięć lat? Dziesięć? Piętnaście? - Meredith mówiła z coraz większą wściekłością.

Był tak pochłonięty wpatrywaniem się w jej błyszczące oczy, że dopiero zimny powiew wiatru na karku uświadomił mu, że znaleźli się na zewnątrz. Wytrzymała jego spojrzenie, zwilżyła wargi..

- Odpowiem na twoje pytanie, nie zamierzam utrudniać ci życia. Przez ostatnie cztery lata byłem tylko z jednym mężczyzną. - Nie zamilkła, widząc, jakie wrażenie wywarły na nim jej ostatnie słowa. - Ale nie martw się. Nie wyszłabym za ciebie, choćbyś był ostatnim mężczyzną na ziemi.

Zatrzasnęła drzwi, Steven zamknął oczy. Cofnął się. Czy powiedziała mu prawdę? Na Boga, skąd mógł wie-

dzieć? Nie mógł. Oszukiwano go przez większą część życia. Jeszcze godzinę temu podrywał dwie młode sprzedawczynie w pobliskim sklepie. Nie zwracał uwagi na plotkujące obok panie, dopóki jedna z nich nie ogłosiła konspiracyjnym tonem, że Meredith jest w błogosławnym stanie.

Poczuł nieznośny ból w żołądku. Wcale nie miał zamiaru pojawić się na uroczystym otwarciu sklepu Meredith. Nie wiedział, dlaczego wyrwał się z tekstem o wygranej w konkursie. Co popchnęło go do takiego zachowania?. Co mu strzeliło do głowy? Gdy się kochali, gdy chłonał jej zapach, gdy ją pieścił, co chwila mruczał coś o ukrytych skarbach. Wtedy myślał o rozkoszy, jakiej mu dostarczała. Nie broniła się, nie opierała. Zapewne kłamała, mówiąc o liczbie mężczyzn, z którymi spała. Była zbyt zmysłowa, zbyt gorąca..."

Zdjął kapelusz i przeczesał spocone włosy. Co, u diabła, miała na myśli, mówiąc, że nie wyszłaby za niego, nawet gdyby był jedynym mężczyzną na ziemi? Poza tym, czy on wspominał coś o małżeństwie?

- Budzik Meredith dzwonił nieustannie od trzech minut. Nie miała siły go wyłączyć. Musiała wstać. A tak chciała schować głowę pod poduszkę i zdrzemnąć się jeszcze z godzinę. Wiedziała, że nie może. O dziewiątej trzeba było otworzyć sklep. Podniosła się z łóżka. Nalała sobie szklankę zimnej wody, by rozpocząć dzień zgodnie z zaleceniami doktora.

Za pięć dziewiąta zamknęła drzwi mieszkania. W połowie drogi na dół zatrzymała wzrok na czymś niebieskim, przytwierdzonym do belki stropowej. Błękitne balony. Naliczyła ich osiem. Wydawało jej się, że było ich więcej. Przypomniała sobie, jak wczoraj próbowała rozplatać sznureczki. Pewnie niektóre balony wyfrunęły na zewnątrz, a ona tego nie zauważyła, pochłonięta rozmową ze Stevenem. Zastanawiała się, czy spadną na ziemię, gdy uleci z nich hel.

Steven nie uwierzył, że to jego dziecko. Nie była na to przygotowana. Nawet nie przyszło jej do głowy, jak bardzo zaboli ją jego reakcja. Czyżby uważał, że sypiała, z kim popadnie? Nie wiedziała, jak zareagować. Nie powinna się denerwować, bo to mogłoby wyrzucić negatywny wpływ na dziecko. Teraz potrzebowała spokoju i pozytywnej energii. Postanowiła, że od dzisiaj będzie myślała jedynie o miłych rzeczach.

Z zadumy wyrwał ją jakiś hałas. Ktoś stukał w okno. Zatrzymała się i wzięła głęboki oddech. Stukanie stawało się coraz bardziej natarczywe. Przekreśliła zamek, otworzyła drzwi na oścież i ujrzała ostatnią osobę, którą chciałyby oglądać.

Steven wszedł do środka i zdjął kapelusz. Patrzyli na siebie bez słowa.

- W czym mogę ci pomóc? - spytała wreszcie.

Jego zielone oczy lśniły tego ranka wyjątkowym blaskiem. Niewyraźnie poruszył ustami. Kiedy w końcu się odezwał, jego głos brzmiał ciszej niż zazwyczaj.



- Oto jest pytanie.

Meredith nie wiedziała, co odpowiedzieć. Jego twarz pokrywał ciemny zarost. Miał zaczerwienione, podpuchnięte oczy.

- Nic nie mów. Wyglądam, jakby mnie ktoś przepuścił przez wyżymaczkę.

Meredith spojrzała na niego -uważnie.

- To ci nawet dodaje uroku.

- Dzięki.

Meredith poczuła, że traci grunt pod nogami. Wracały słodkie wspomnienia, a to osłabiało jej czujność. Wmawiała sobie, że to normalna reakcja. W końcu stał przed nią ojciec jej dziecka. Kobiety w ciąży miewają zmienne nastroje, często śmieją się i płaczą bez powodu. W ich organizmach szaleją hormony. Nie, ona się temu nie podda, będzie twarda.

- Przepraszani cię za wczoraj, Steven.

- To szczerze przeprosiny?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Miałam kilka tygodni, by przyzwycząić się do myśli, że zostanę matką. Ty dowiedziałeś się o dziecku dopiero wczoraj, rozumiem twoją reakcję.

Steven wpatrywał się w nią tak intensywnie, że poczuła się nieswojo. Blask słońca opromieniaj Meredith złotą poświatą. Było w tym coś niezwykłego, niemal mistycznego. Steven przymknął oczy, powtarzając sobie w duchu, że przecież anioły nie zstępują na ziemię, nie zadają się ze zwykłymi śmiertelnikami.

- Kiedy będzie, to znaczy, kiedy sądzisz, że... - Zamilkł bezradnie, jakby zabrakło mu odpowiednich słów.

- Chciałem spytać, kiedy doktor przewiduje...

- Pytasz, kiedy urodzi się dziecko? - jej głos był delikatny, pełen współczucia, którego nie oczekiwał.

- Tak, o to właśnie chciałem zapytać.

- W lutym.

Przełknął ślinę. No tak, to by się zgadzało.

- Co ci chodzi po głowie, Steven?

Spoważniał, jego rysy stężały, w oczach pojawił się wyraz czujności. Dość tego. pora przejść do konkretów. Wyprostował się.

- Nie byłabyś pierwszą kobietą przypisującą ojcostwo niewłaściwemu mężczyźnie. To się zdarza.

- Czy to już ci się kiedyś przytrafiło?

- Nie mnie.

- Komuś bliskiemu?

Nie odpowiedział. Wciąż nie wierzył, że jest ojcem jej dziecka, ale nie mógł tego tak zupełnie wykluczyć.

- Wiesz, co myślę? - spytała.

- Pytasz mnie, czy wiem, jakimi drogami błądzą twoje myśli? Nie mam pojęcia. - Jego srogi ton dziwnie kontrastował z ciepłym blaskiem oczu.

Meredith uśmiechnęła się.

- Myślę, że gdybyśmy spotkali się w innych okolicznościach, zostalibyśmy przyjaciółmi.

Steven wziął głęboki oddech i przygryzł wargę. Łatwiej zniósłby kopnięcie w brzuch, niż ten delikatny

uśmiech i życzliwe słowa. Wpatrywał się w nią i zupełnie nie wiedział, co odpowiedzieć. A przede wszystkim nie wiedział, czy może jej zaufać. Miał kilka poważnych powodów, by jej unikać. Gdy był blisko niej, nie umiał utrzymać na wodzy pożądania. To było silniejsze od wszelkich postanowień. Ciało nie słuchało głosu zdrowego rozsądku.

Uniósł powoli dłoń. Być może pogłaskałby Meredith po policzku, gdyby nie zabrzmiał dzwonek. Meredith odwróciła się gwałtownie. W drzwiach stał Neil Anderson.

- Witaj, Neil.  
- Skończyliście już rozmawiać o nagrodzie?  
- Nagrodzie? - Steven nie bardzo rozumiał.  
- Jakiej nagrodzie? - spytała niemal jednocześnie Meredith.

Neil spojrział na nich niepewnym wzrokiem.

- Tej, którą wygrałeś w konkursie.  
- Ach, tak - uspokoiła się. - Rzeczywiście, nagroda.  
- Odwróciła się do Stevena. - Musisz mi powiedzieć, który pokój mam urządzić i kiedy mogę przystąpić do pracy.

Steven skinął głową i wycofał się w stronę drzwi. Meredith odprowadziła go na schodki.

- Nie martw się - szepnęła mu do ucha. - Twój sekret jest bezpieczny.

Steven wyszedł ze sklepu, chociaż nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Miał rację co do jednej rzeczy. Kopnięcie w brzuch byłoby mniej bolesne niż słodki uśmiech

Meredith i jej przyrzeczenie dochowania tajemnicy. Poczuli się podle, jak ostatni łajdak,

Jake McKenna odsunął krzesło od stołu w restauracji „Mel's Diner”,

- Spieszysz się na ranczo, Steven?

Steven pochłaniał właśnie ostatni kawałek wiśniowego ciasta, specjalności zakładu. Wzruszył ramionami.

— Niespecjalnie.

Jake wyciągnął z kieszeni pięciodolarowy banknot i położył na stole,

- Wrócę za pół godziny.

Steven skinął głową. Przyjaciel prawdopodobnie miał zamiar wpaść do fryzjera albo na pocztę. Obaj wiedzieli, że mogą sobie nawzajem ufać. Obaj byli małomówni i niezwykle lojalni. Poznali się w **dniu**, w którym siedemnastoletni Steven pojawił się w Lone M w poszukiwaniu pracy. Choć ranczo należało do Jake'a, obaj pracowali równie ciężko. Nie było relacji szef podwładny. Któregoś dnia Jake zaproponował mu kawałek ziemi. Steve odrzucił ofertę. Posiadanie ziemi przywiązałoby go nieodwołalnie do tego miejsca, a on zbyt cenił swą niezależność. Wyznawał zasadę, że przywiązanie oznacza niewolę.

Delektując się ulubionym ciastem, **nie zwracał** specjalnie uwagi na to, co się dzieje wokół. Lokalik był dość mały, ale czysty i przytulny. Każdego dnia serwowano inną specjalność. Soczysty stek w poniedziałki, półdwi-

ca z ziołami we wtorki, żeberka i słodkie ziemniaki w środy, gulasz wołowy w czwartki, meksykańskie dania w piątki. Oprócz tego w karcie zawsze były kanapki, hamburgery, frytki, kurczak z rożna, czasami smażona wątróbka z cebulką. Stałych bywalców pociągała właśnie ta specyficzna przewidywalność, ten niczym niezakłócony rytm, w którym każdemu dniowi tygodnia przyporządkowana była niezmiennie ta sama potrawa. Steven lubił tu jadać. Dziesięć stołów, pięć kabin telefonicznych, wieszak na kapelusze, rzadko używany. Mieszkańcy przychodzili tu na przekąski i na plotki, nigdy nie brakowało klientów.

Chociaż Steven nie zwracał uwagi na pozostałych biesiadników, to żałosne skrzypienie starych, zardzewiałych zawiasów w drzwiach doprowadzało go do pasji. Wcześniej jakoś mu to nie przeszkadzało. Drzwi znowu zaskrzyphiały. Mimowolnie spojrzął w ich kierunku. Weszła Meredith, dźwigając próbki farb i kilka rolek tapety. I chociaż przywitała się z kilkoma mężczyznami, to na żadnym nie zatrzymała wzroku tak długo, jak na Stevenie. Gdy znikła w kuchni, natychmiast stała się tematem rozmów toczonych przy stolikach.

- Nie widać po niej, że jest w ciąży - stary Roy Everts zwrócił się do swojego brata, Hala.
- Moja żona mówi, że jeszcze za wcześnie.
- Jak myślisz, po co przyszła do Louetty?
- Słyszałem, jak Louetta mówiła, że chcą tu zmienić wystrój. Podobno zleciła to Meredith.

- Według Normy Zammeron, Meredith była ostatnio bardzo zajęta.

- Miała dużo zajęć, jeśli wiesz, co mam na myśli - dodał z sarkazmem Clive Hendricks.

Ciasto przestało smakować Stevenowi. Wiedział, o co chodzi. Wszyscy wiedzieli. Wielu z tutejszych mężczyzn nie miało najlepszego zdania o Meredith. W końcu była w ciąży, a nie zamierzała wychodzić za mąż. Co więcej, wcale nie ukrywała swych poglądów.

Nikt nie powiedział, że źle się prowadzi, ale stereotypy trudno wykorzenić. Dopóki ziemia nosiła takich ludzi, jak Clive Hendricks, nie należało oczekiwać zmiany na lepsze.

Wstał, wyciągnął z kieszeni pięciodolarówkę i położył ją obok pieniędzy Jake'a.

- Dolać ci kawy? - zagadnęła Stevena ładna, młoda kelnerka.

- Dziękuję, Brendy.

- Ja jestem łasy na każdą dolewkę - rzucił za nią Ciive.

- Tobie akurat niczego nie trzeba. Siedź spokojnie i przestali mnie zaczepiać, bo dostaniesz po łapach.

- Co ja poradzę, że nie jestem Stevenem? Słuchaj, Brendy, jak długo panna Warner ma zamiar ukrywać się w kuchni?

- Meredith nie ma w kuchni. Zostawiła jakieś tapety i farby i wyszła tylnymi drzwiami.

- Fatalnie. Nie miałbym nic przeciwko zawarciu z nią

bliższej znajomości. Jeśli chcesz wypić szklanekę mleka, nie musisz od razu kupować krowy, prawda?

Steven naciągnął kapelusz głębiej na oczy, bo popołudniowe słońce dawało się we znaki. Z piekarni wychodzili właśnie Clayt i Melody Carsonowie z synami. Clayt niósł starszego. Młodszy próbował się wyrwać z matczy-nych ramion. Chociaż jeden z chłopców wyglądał jak Melody, a drugi jak Clayt, nie było wątpliwości, że obaj są dziećmi tego samego ojca. Zachowywali się identycznie, robili takie same miny.

Steven zaczął się zastanawiać, po kim odziedziczyłoby urodę dziecko jego i Meredith. Czy to możliwe, że powiedziała prawdę? Ostatnio to właśnie pytanie doprowadzało go do szału.

Kilka sekund zajęło mu dotarcie do ciężarówki. Sięgnął przez otwarte okno po papierową torbę leżącą na przednim siedzeniu. Ruszył drogą między barem Mela a sklepem z ciuchami. Kocia mama rozciągnęła się w otwartych drzwiach, wygrzewając się na słońcu. Obok spały małe. Uważając, by im nie przeszkodzić, Steve ostrożnie wszedł do środka. Przymknął oczy, by przyzwyczaić wzrok do półmroku. Kiedy je otworzył, ujrzał Meredith. Patrzyła na niego, trzymając w jednej dłoni nożyce, w drugiej pinezki.

Steven zdjął kapelusz.

- Dużo myślałem.

- Tak? - Wpatrywała się w niego tak intensywnie, że natychmiast zapomniał, po co właściwie przyszedł.

- Ludzie gadają - ~~balnął~~ wreszcie trochę bez sensu.
  - Ludzie?
  - Niektórzy. O tobie. Myślałem o tym, co powiedziałaś. Że to moje dziecko.
  - Tak? - spytała cicho.
- Obejrzał kapelusz, potem otrzepał go i przycisnął do piersi.
- Myślałem o tym, co powinienem zrobić. No, wiesz, gdyby io jednak była prawda.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Meredith spojrzała na zdeformowany kapelusz, który przyciskał do piersi. Niedawno słyszała rozmowę dwóch kobiet. Obie panie narzekały na to, że ich mężowie najchętniej nawet do łóżka chodziliby w kapeluszu. Steven był inny. Zawsze w obecności kobiety zdejmował kapelusz. Gdyby nie kłopotliwa sytuacja, chętnie spytałaby go, kto go tak dobrze wychował.

- Nie musisz nic robić, Steven. Niczego od ciebie nie chcę.

Pokręcił przecząco głową, jakby spodziewał się usłyszeć zupełnie co innego. Wręczył jej papierową torbę.

- Powiedziałaś co prawda, że nie wyszłabyś za mnie, nawet gdybym był jedynym facetem na ziemi. Ale chyba powinnaś to jeszcze raz przemyśleć, tak na wszelki wypadek.

Na wszelki wypadek? Powoli odłożyła nożyce i pinezki na stół.

- W razie gdyby dziecko było twoje?

- Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało.

Meredith odniosła inne wrażenie, ale w porę ugryzła

się w język. Nie było sensu wszczynać kłótni. A przy okazji dowiedziała się kolejnej rzeczy o Stevenie.

- Małżeństwo to bardzo poważny krok - powiedziała łagodnie.

- Myślisz, że tego nie wiem?

- Nie jesteś stąd?

- Czemu pytasz?

- Nie wiem. Wyglądasz jak inni mężczyźni w tych stronach, nosisz podarte, wysłużone dżinsy, zakurzone kowbojskie buty, ale wyróżniają cię twoje czarne włosy i zielone oczy. I jesteś jedynym facetem, który zdejmuje kapelusz w obecności kobiety. Powiedz, nauczyłeś się le-go od ojca?

Steven parsknął.

- Od matki?

Nie odpowiadał. Przełknął ślinę. Głęboko spojrzął Meredith w oczy

- Lauralee Larsen.

Meredith nie знаła tego nazwiska.

- To. przyjaciółka?

Steven uśmiechnął się.

- To ona nauczyła mnie, że wchodząc do pomieszczenia, powinienem zdejmować kapelusz. I była jedyną kobietą, z którą miałem zamiar się ożenić.

Mnóstwo pytań przelatywało jej przez głowę. Zatem była jakaś kobieta w jego życiu. Ważna kobieta.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś? To znaczy, dlaczego się nie ożeniłeś?

- Nie sędzę, żeby potraktowała moją propozycję poważnie.

Nie spuszczała z niego wzroku. Był taki tajemniczy. Zastanawiała się, czy to jakaś nowa gra z jego strony. Jego twarz przybrała dziwny wyraz. Wydawał się nieobecny, myślami błądził gdzieś daleko stąd.

- Dlaczego nie potraktowała propozycji poważnie?

- Pewnie uznała, że jestem za młody.

- A byłeś?

- Byłem już wystarczająco dojrzały.

- Ile miałeś lat?

- Nie pamiętam. Policzmy, to było wtedy, kiedy moja matka uciekła ze swoim ostatnim facetem do Kolorado. Tak, mogłem mieć wtedy jakieś jedenaście lat. Może dwanaście. Ale, jak powiedziałem, byłem wyjątkowo dojrzały jak na swój wiek.

- Bez wątplenia. - Meredith mimo wysiłków nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

- Miałeś jedenaście albo dwanaście lat, gdy po raz ostatni poprosiłeś dziewczynę o rękę?

- Lauralee nie była dziewczyną, lecz dojrzałą kobietą.

- Ile miała lat? Trzydzieści?

- Trochę więcej.

- Czy to była miłość od pierwszego wejrzenia?

- Prawie. Zakochałem się w niej, kiedy przerwała walkę między mną a Paulem Bunyonem, który nazwał mnie Czerwonoskórym. Zrzucił mi kapelusz z głowy i zaczął go deptać. Mój kapelusz... Gdyby nie zainterwe-

niowała, starłbym tego chłystka na proch. Opowiedziałem pannie Larsen całe zdarzenie, a ona zmusiła Paula, by mnie przeprosił. Nie muszę chyba mówić, jak bardzo zależało mi na tych przeprosinach. Chciałem tylko odzyskać kapelusz. Oszczędzałem na niego całe lato. Był jedyna wartościową rzeczą, jaką posiadałem.

W tym krótkim opowiadaniu zawarł nieświadomie tyle informacji, że Meredith musiała to wszystko spokojnie przemyśleć. A na to potrzebowała trochę więcej czasu.

- Kochałeś się w nauczycielce?
- Gdybyś ją zobaczyła, zrozumiałabyś, że to nie było zwykłe zauroczenie.

Meredith uśmiechnęła się znacząco.

- Była ładna?

Chrząknął, wyraźnie zakłopotany.

- Długie blond włosy, piękne, pełne piersi... Zawsze pachniała różami.

Z sobie tylko znanych powodów -Meredith ucieszyła się, że panna Larson była blondynką.

- Nie przekonałeś jej, że powinna poczekać, aż dośniesz?

- Była zaręczona.

- Z kim?

- Z panem Matthewsem, nauczycielem fizyki. Facet był dla niej stanowczo za stary. Po trzydziestce. Miał rzadkie włosy i śmieszne okulary. Pewnie ośleplł i ogłuchł, zanim dobiegł czterdziestki.

- Cóż, o gustach się nie dyskutuje.

— Tak...

- Co zrobiłeś?

- Dlaczego uważasz, że coś zrobiłem?

- Nazwij to kobiecą intuicją.

- Codziennie spuszczałem mu powietrze z opon.

I pewnie robiłbym to dalej, gdyby mnie nie złapał.

- Złapał cię?

- Zaciągnął mnie siłą do szeryfa i zażądał, by mnie wysiedlono z miasta. Panna Larson mu na to nie pozwoliła. Ubiliśmy interes. Obiecał, że da mi spokój, dopóki będę mu strzyc trawnik i myć samochód. Panna Larson mi pomagała, oczywiście bez jego wiedzy.

Meredith głośno się roześmiała. Przyłączył się do niej. Powoli jednak jego śmiech zamierał,

- Chyba najwyższa pora zmienić temat. - Zrobił krok w jej kierunku.

- Na jaki? - wyszeptwała.

Zatrzymał wzrok na jej ustach. Gorączkowo się zastanawiał, które z nich powinno zrobić pierwszy krok.

- Stało się coś, czego nie planowałem.

Przez chwilę zastanawiała się, jak powinna zareagować. Pragnął jej. Tego była pewna. Ona pragnęła jego, ale pragnęła też dziecka poczętego tamtej długiej, szalonej nocy. Myśl o dziecku przywróciła ją natychmiast do rzeczywistości.

- Ja też tego nie planowałam, Steven. Wiem, że to dla ciebie szok.

- To nie szok. Jesteś w ciąży. Możliwe, że to moje

dziecko. A dzieciństwo to trudny okres nawet dla tych szczęśliwców, którzy wychowują się w pełnych, kochających rodzinach i mają normalne domy.

Cofnęła się. Wciąż trzymała papierową torbę, którą jej przyniósł. Otworzyła ją. W środku był biustonosz.

- Znalazłem go pod łóżkiem - powiedział cicho. - Wziłem go w schowku na rękawice.

- W schowku na rękawice?

- Nie chciałem, żeby ktokolwiek znalazł to w moim pokoju. Kobięca reputacja to delikatna sprawa.

Zaschło jej w gardle. Steven dbał o jej reputację. Serce zaczynało jej bić coraz szybciej. To trzecia propozycja małżeństwa, odkąd rozniosło się, że jest w ciąży.

- Meredith, co ty na to, żebyśmy razem... no, rozumiesz chyba...

Spojrzała na niego poważnie.

- Nie wiem, co odpowiedzieć.

- Wiesz.

- Nie znamy się wystarczająco dobrze, żeby się móc pobrać.

Steven zaczerpnął powietrza, potem powiedział:

- Nie znaleźliśmy się na tyle dobrze, żeby iść ze sobą do łóżka, ale to nas nie powstrzymało. Próbuję postąpić właściwie, Meredith. Nie utrudniaj mi tego, proszę.

- Właściwie? Masz na względzie dobro dziecka? - wyszeptała.

Tak, pragnęła, by jej dziecko wychowywało się w pełnej rodzinie. By miało kochającego ojca. Ale małżeństwo

z obowiązku? Nie mogła uwierzyć, że w ogóle to **rozwaza**.

- Potrzebuję trochę czasu, Steven.

- Im szybciej się pobierzemy, **tym** prędzej ludzie **zapomną, ile miesięcy** po ślubie urodzisz dziecko. Jeśli jest mój, chciałbym, żeby **nosił** moje nazwisko. To dla mnie **bardzo ważne**.

- On? Czemu przypuszczasz, że to będzie chłopiec? Odwrócił szybko wzrok, zmieszany pytaniem.

- Nieważnej czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka. Jeśli to moje dziecko, chcę żeby nosiło moje nazwisko.

Jeśli... **Jak** to możliwe, **żeby** jedno słowo tak wiele znaczyło? Zawierało tak silny ładunek emocjonalny? W głębi serca **Meredith** wierzyła, że **Steven** postępuje tak, jak nakazuje mu poczucie honoru i zwykła przyzwoitość. Chciał jak najlepiej dla dziecka, nie miała co do tego wątpliwości.

Jeśli to jego dziecko, jak powiedział. Jeśli, jeśli, jeśli. Dlaczego tak uważnie jej się przyglądał? "

- Chcesz dostać odpowiedź w tej chwili? — spytała. Wzruszał ją tym, nieśmiałym uśmiechem.

- Nie powinienem cię poganiać. Jeśli to moje dziecko, chciałbym uczestniczyć w jego życiu od samego początku. - Spojrzał na nią łagodnie.

I. znowu to jedno przekłete słowo. Jeśli...

- Czujesz się bezpieczny w domu rodzinnym?

-Czułem, że **mam** dach nad głową. To było całe moje bezpieczeństwo.

Potwierdził tylko to, co i tak już wiedziała. Umiała czytać między wierszami. Steven uważał, że dzieciństwo powinno być najszczęśliwszym okresem w życiu każdego człowieka. Okresem bez trosk i bólu. Ale ani Steven, ani ona nie chcieli wracać wspomnieniami do tych odległych lat, bo żadne z nich nie zaznało wtedy zbyt wiele radości.

Kocia mama otarła się o nogi Meredith. Siedmioro kociąt próbowało utrzymać się na drżących łapach. Meredith zastanawiała się, jak zwierzęta radzą sobie z wychowywaniem tak licznego potomstwa. Ludzie mieli kłopoty nawet z jedynakami.

Tak bardzo chciała podjąć właściwą decyzję. Musi wszystko przeanalizować, rozważyć wszystkie za i przeciw, spokojnie pomyśleć.

- Naprawdę potrzebuję trochę czasu, Steven.

- Ile?

Bardzo powoli podniosła wzrok.

- Nie wiem. Kiedy podejmę decyzję, dowiesz się o tym pierwszy. Przymierzam.

Przez długą chwilę patrzył jej w oczy.

- W porządku. Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Uklonił się, nasunął kapelusz na czoło i wyszedł tak cicho, jak przyszedł.

Meredith myślała o propozycji Steva całe popołudnie. Robiła to wtedy, gdy nie miała klientów i gdy nic zajmowała się projektem dla Cletusa McCully'ego, który



**zapragnął** zmienić obicia mebli. Ten uroczy starszy człowiek twierdził, że ma mnóstwo czasu i Meredith nie musi się spieszyć. Było jej to na rękę, ponieważ miała trudności z koncentracją.

Rozmyślała o propozycji Stevena tak intensywnie, że aż rozboleła ją głowa. Zamknęła sklep, ugotowała sobie zupę, a po kolacji wzięła długi prysznic. Potem przyglądała się uważnie swojemu odbiciu w lustrze. Szukała w swoim **ciele jakichkolwiek** oznak ciąży. Uśmiechnęła się. Brzuch, nie był już tak płaski, jak kiedyś, a jutro powinna kupić sobie nowy **biustonosz**. **Właśnie**, przypomniała sobie **zgubę przyniesioną przez Stevena**. **Zapakował** stanik do papierowej torby, w trosce o reputację Meredith... Był prawdziwym dżentelmenem. Posłała promiennego całusa swojemu odbiciu. Może nie jest jednak takim egoistą. I co z tego? To nie oznacza, że **powinna za** niego wychodzić. A może powinna?

Kładąc się do łóżka, **uświadomiła** sobie, że jej myśli nieustannie krążą **wokół Stevena** i jego propozycji.

Następnego dnia rozmyślała jeszcze **intensywniej**. Miała wrażenie, że lada moment oszaleje. Pukając do drzwi domu **McKennów**, postanowiła przestać się zadreć. Chwilowo trzeba pogodzić się z faktem, że **nie ma** pojęcia, co robić. Było natomiast kilka rzeczy, które wiedziała na pewno.

Było dziecko, ojciec, matka, wzajemna fascynacja i propozycja małżeństwa. Lubiła Stevena i wyczuwała, że on też darzy ją sympatią. Ale to za mało, by zawrzeć

małżeństwo. Steven jest dobrym człowiekiem. Wiedziała to od chwili, gdy spotkała go po raz pierwszy. Ilu mężczyzn zaproponowałyby małżeństwo, nie mając pewności co do swego ojcostwa? Wiedziała, czego by jej najbardziej brakowało w związku ze Stevenem. Zaufania. Steven pragnął postąpić właściwie, lecz pod warunkiem, że to jego dziecko.

Jakiś ruch w zagrodzie przykuł jej uwagę. Pięcioletnia Kelsey siedziała na białym koniu, śmiejąc się promiennie do stojącego obok Stevena.

- Panno Warner, niech pani spojrzy! - zawołała do Meredith.

Meredith zeszła ze schodków. Steven jedną ręką przytrzymał dziewczynkę w talii.

- Wygląda na to, że uczysz się jeździć, Kelsey.

Dziewczynka kiwnęła głową tak gwałtownie, że włosy przysłoniły jej twarz.

- Steven mówi, że jestem jeszcze za mała, żeby jeździć sama, ale uczy mnie od dawna. Mamy nie ma w domu. A gdzie jest Oliwia?

- Pojechała z Loganem i Wesem do Pierre. Chcą kupić konia. - Meredith uśmiechnęła się na wspomnienie Oliwii próbującej wdrapać się na wielkie zwierzę. Dzieciaki zawsze umiały ją rozbawić. Z każdym dniem poznawała je coraz lepiej.

Steven rzucił przelotne spojrzenie na Meredith, ich oczy się spotkały. Poczowała, jak jej twarz owiewa chłodny podmuch. Kelsey trzymała kurczowo wodze, skupiona

i przejęta. **Steven** się **uśmiechał**. Meredith poczuła, że zalewa ją fala trudnych do określenia emocji. Jak mogła podejmować ważne decyzje, skoro nie była sobą? Patrzyła na **Stevena jak zahipnotyzowana**. Rozczulał ją każdy jego ruch. Sposób, w jaki chodził, troska, z jaką chronił małą Kelsey przed ewentualnym, **upadkiem**. Jego zmysłowy głos, promienny uśmiech...

Mogłabym się w nim zakochać. Ta myśl sprawiła jej niezwykłą **przyjemność**, a jednocześnie wprawiła w popłoch. Już rozumiała, dlaczego oświadczyły **Stevena** nie sprawiły jej radości. W jego słowach zabrakło miłości. Nawet **nie** wierzył, że to jego dziecko. I nie kochał jej.

Nagłe dotarło do niej, że **ta płatanina** myśli prowadzi na manowce. Całe to babranie się w uczuciach i analizowanie powodów, dla których powinna za niego wyjść. Zupełnie jakby zapomniała, co powinno być podstawą małżeństwa. Tak, **Steven** był **uczciwy i dobry**. Lecz nie ufał jej i nie darzył miłością.

**Na horyzoncie pojawił się samochód.**

- Mama. wróciła! - krzyknęła podekscytowana Kelsey. - I Buck z **Billym!**

- jesteś urodzonym jeźdźcem —**powiedział Ste-veh**, zdejmując dziewczynkę z konia i stawiając obok Meredith.

**Kelsey klasnęła w dłonie.**

- Poczekaj, **muszę o tym powiedzieć mamie.**

Meredith spojrzała przez ramię. Mała pędziła do domu. **Rude włosy falowały rytmicznie przy każdym ruchu.**

Steven też patrzył. Dziecko dobiegło do matki, wtulając się w jej biodra. Poryw wiatru targnął sukienką Josie. Uwypuklił się okrągły, wystający brzuch. Meredith nie mogła się doczekać, kiedy będzie wyglądać tak samo.

- Josie twierdzi, że pomijając rude włosy, Kelsey jest uderzająco podobna do ojca - powiedział Steve. - Zastanawiam się, czy następne dziecko będzie podobne do Jake'a.

- Nie wszystkie dzieci są podobne do ojców.

- Myślisz, że o tym nie wiem?

Odgłos zbliżającego się samochodu uwolnił ją od konieczności udzielenia odpowiedzi. Ciężarówka wypełniona drewnianymi belkami zatrzymała się w pobliżu domu.

- Cześć, Steven! - zawołał przez otwarte okno Buck Matthews. - Dzień dobry, Meredith. Przyjechałaś zobaczyć, jak mieszka Steven? Będziesz mu urządzać pokój?

- Właściwie to...

- Tak, po to właśnie przyjechała - odpowiedział spokojnie Steven.

Poprosił pomocników, by zaprowadzili klacz do boksu i przyprowadzili konie z południowego pastwiska. Dopóki nie znikli z pola widzenia, nie zbliżał się do Meredith. Przytrzymując jej drzwi, obrzucił uważnym spojrzeniem jej sylwetkę. Hm... Brzoskwinie i sionce. Miał trzydzieści lat. Wystarczająco dużo, by umieć zapanować nad swoimi zmysłami. A jednak przychodziło mu to z coraz większym trudem. Nawet w obecności postronnych osób, a co dopiero gdy zostawał sam na sam z Meredith. Wtedy tracił głowę.

Meredith zdawała- się nie mieć takich problemów. Przyglądała się sofie stojącej w rogu pokoju.

-- Jakie lubisz kolory? Niebieski? Morski? Butelkową zieleń?

- Spraw mi niespodziankę.
- Odpowiesz roi na pytanie? - zmieniła nagle temat.
- Spróbuję.
- Do kogo jesteś podobny? - spytała cicho.

Pytanie go zaskoczyło.

- Mówią, że płynie we mnie krew Apaczów.

Przyglądała mu się uważnie. Nie zdjął kapelusza. Może nie chciał, by Meredith widziała wyraz jego oczu.

Pamiętała opowieść o smutnym dzieciństwie Stevena. Przez chwilę żałowała, że poruszyła ten bolesny temat.

- Chciałam spytać, do kogo jesteś bardziej podobny? Do matki czy do ojca?

- Na pewno nie do matki.

Meredith podeszła bliżej. Na miłość boską, nie zniesie tej jej litości i troski. Wolałby już chyba godzinna wizytę u dentysty.

~ Zatem do ojca?

- Martwisz się o urodę dziecka?

Urodę? To jej nie przyszło do głowy. Wszystko jedno, do kogo będzie podobne. Już je kochała.

- Twój ojciec nie był zbyt przystojny?

Steven schował ręce do kieszeni i gwałtownie wziął głęboki oddech.

- Buchanan to nazwisko panieńskie mojej matki. Kie-

dy dorastałem, zacząłem dopytywać się o ojca. Serwowała mi różne rozczulające historyjki i zawsze podawała inne nazwisko. Ale wiem, kto jest moim ojcem. Nazywa się Hank Nichols. Kiedy nie jest akurat z jakąś kobietą, jeździ swoją przyczepą od stanu do stanu. Ma czarne włosy i zielone oczy. Według mnie jest dosyć przystojny.

Meredith rozumiała coraz więcej. Chyba rzeczywiście miał powody, by nie ufać kobiecym słowom. Cierpiał, ilekroć wracał do tamtych wspomnień. Nie chciał, by jego dziecko musiało przechodzić przez to samo, doznawać równie bolesnych upokorzeń. Pod warunkiem, oczywiście, że to naprawdę jego dziecko.

- Więc? - spytał. - Masz jeszcze jakieś pytania?

Czuła pulsowanie w skroniach i ucisk w żołądku. Żałowała, że nie przygotowała się lepiej do tej rozmowy. Steven wciąż czekał na odpowiedź.

- Chyba nie miałeś szczęśliwego dzieciństwa. Tak mi przykro.

- Jakoś przeżyłem. Chciałbym tylko, żeby moje dziecko nie musiało kiedyś opowiadać podobnej historii.

- To nie takie proste, Steven. Moje dzieciństwo też nie było usłane różami. Ojciec ożenił się z matką, bo była w ciąży. Spłodzili dwoje dzieci, lecz to nie scementowało ich związku. Ojciec nas porzucił.

- Co chcesz dać mi do zrozumienia?

- Tylko to, że narodziny dziecka nie są gwarancją udanego małżeństwa.

- Zatem odrzucasz moje oświadczenia?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, ktoś zapukał do drzwi.

- Steve! - zawołał jeden z pomocników.

- O co chodzi, Billy?

Młody człowiek otworzył drzwi i wszedł do środka.

- Nie chciałbym przeszkadzać, ale właśnie dzwonił Jed Harley. Wygląda na to, że stado przerwało ogrodzenie i przeniosło się na zachodnie pastwisko.. Kilka koni zablokowało przejazd na Old Stump Road. Mam pojechać tam z Buckiem?

- Nie, sam się tym zajmę.

Billy przeniósł wzrok ze Stevena na Meredith.

- Na pewno? Bo mogę...

- Na pewno. Zajmijcie się wyładunkiem drewna. Meredith i ja właśnie skończyliśmy rozmowę.

Uklonił się i wyszedł zdecydowanym, szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie.

Meredith pożegnała się z Billym. Nieco zaskoczona obrotem spraw, ruszyła w stronę samochodu. Jednak zatrzymała się w połowie drogi, porażoną nagłą myślą. Przecież jechała na rancho w zupełnie innej sprawie. Powoli zawróciła.

Tym razem zastała Josie w domu.

W stajni Biłły Schmidt zdejmował właśnie siodło ze starej Nelly. Miał dopiero dwadzieścia dwa lata, lecz zapowiadał się na świetnego ranczera. Oszczędzał każdy zarobiony grosz, by któregoś dnia kupić kawałek ziemi.

Steven zaczął siodłać Bonera.

- Jeśli poczekaś kilka minut, wyładujemy z Buckiem ciężarówkę. Będzie szybciej niż wierzchem.

- Są miejsca, w które nie dotrzesz ciężarówką. Poza tym jak widzisz, Boner jest gotowy do drogi, nieprawdaż?

- Koń uniósł łeb i głośno parsknął. Steven uśmiechnął się. Czuł się znacznie lepiej, gdy dosiadał konia i pędził przed siebie, zapominając o bożym świecie.

Buck i Billy rozładowywali ciężarówkę, lecz Steven słyszał strzępy ich rozmowy.

- Nie wiem, co będę robić w piątek, ale w sobotę wybiorę się do miasta posłuchać, jak grają bracia Andersonowie.

- Ja też. Gdyby ci chłopcy spędzali więcej czasu na ranczo, zamiast grać w lokalach, lepiej by im się wiodło.

Głosy były raz wyraźne, a zaraz potem przycichały. Steve domyślił się, że mężczyźni noszą deski i belki na drogą stronę stajni. Byli naprawdę świetnymi pracownikami.

- Słyszałem, że Neil spędza ostatnio sporo czasu w sklepie z meblami.

- Też słyszałem.

- Ale podobno nie chodzi mu wcale o remont domu.

- To co on tam robi?

- Nie wiem. Może spodobała mu się właścicielka. Jest niczego sobie.

- Oj, tak. Myślisz, że dziecko Meredith odziedziczy po nim smykałkę do muzyki?

To pytanie spadło jak grom z jasnego nieba. Steven



popuścił popręg i wskoczył na grzbiet Bonera. Pochylił głowę, by nie uderzyć w futrynę i ruszył galopem w stronę bramy.

Pędzili przed siebie, ścigając się z wiatrem. Ale Steven nie mógł zagłuszyć niepokojących głosów, które przyprawiały go o zawrót głowy.

Podejrzenia nie dawały mu spokoju. Szarpały jego duszę jak stado wściekłych demonów,

Meredith właśnie wchodziła na werandę, gdy usłyszała tętent kopyt. Josie i Kelsey pokiwały znacząco głowami.

- Znowu to samo.

- Znowu? - spytała Meredith.

- Steven ma swoje tajemnice - wyjaśniła Josie. - Jest w nim tyle życia, tyle energii i życzliwości dla świata. Jednak czasami galopuje na swym koniu, tak jakby pragnął uciec przed jakimiś demonami. Jake mówi, że zawsze tak było. Za kilka dni- Steven znowu wyjedzie.

- Wyjedzie? - szepnęła Meredith.

Josie i Kelsey przytaknęły.

- To wolny duch - stwierdziła Josie.

- Ale zawsze wraca, prawda, mamó?

- Tak kochanie. Zawsze wraca.

Tajemniczy - tak, ale wolny duch? Meredith nie określiłaby go we ten sposób.

- Dokąd się wybiera? - spytała spokojnie.

Josie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, czy Jake kiedykolwiek go o to pytał. Wiesz, jacy są faceci.

Rozmowa zeszła na inny temat. Po chwili Meredith stwierdziła, że musi wracać do sklepu, pożegnała się i wsiadła do samochodu.

Steve miał za kilka dni wyjechać. Dokąd? Po co? I dlaczego nikt nigdy nie próbował dociec, o co w tym wszystkim chodzi?



## ROZDZIAŁ SÓDMY

Była dziewiąta rano, kiedy Meredith wjechała na długą, zakurzoną drogę prowadzącą do posiadłości, w której mieszkał Steven.

Panował niemiłosierny upał. Meredith miała wrażenie, że temperatura wzrasta z minuty na minutę. Zaparkowała samochód nieopodal domu. W Lone M było tego dnia bardzo cicho, tak jakby wszyscy mieszkańcy wyjechali.

- Zapukamy i zobaczymy, czy ktoś jest w środku - zwróciła się do dwóch młodych dziewczyn, które zatrudniła do pomocy. Nie zdziwiła się, gdy nikt nie otworzył.

- Może powinniśmy były najpierw zadzwonić? - spytała Sharla Avery, starsza z dziewcząt.

Meredith pokręciła głową.

- Steven nie ma telefonu.

- Jak można nie mieć telefonu?

- No tak, Steven to wolny duch, ale chyba nawet on musi czasami gdzieś zadzwonić? - spytała retorycznie Holly Quinn.

- Widziałam przed chwilą ciężarówkę Billy'ego Schmidta - powiedziała Sharla. - Jeśli chcesz, spytam go, gdzie podziewa się Steven.

- Nie ma go tu. - Usłyszały głęboki męski głos. Wszystkie trzy odwróciły się jak na komendę. Sharla zaczerwieniła się.

- Cześć, Billy.

- Cześć, Sharla. - Billy uśmiechnął się szeroko do zmieszanej dziewczyny. Meredith widziała go już parę dni wcześniej.

- Wiesz może, gdzie jest Steven?

- Myślałem, że kiedy wstanę, już tu będzie. Ale najwyraźniej jeszcze nie dotarł.

- Nie wyjechał!

- Wyjechał, ale nie tak znowu daleko. Pojechał razem z Buckiem ogradać teren z zachodniej strony Old Stump Rosa. A ja musiałem pomóc Slippiemu naprawić traktor. - Uśmiechnął się zawadiacko do Sharli. - Wybierzesz się w sobotę na tańce?

- O której godzinie? - Sharla zbyt późno zorientowała się, że należało nieco zwlekać z odpowiedzią.

- Mógłbym wpaść po ciebie około ósmej,

- Dobrze, zatem o ósmej.

Billy spojrział na Meredith.

- Urządzasz Stevenowi pokój w nagrodę za wygrany konkurs? To ma być niespodzianka?

- Tak - odpowiedziała krótko.

- Nie powiem mu, że cię widziałem. - Billy uśmiechnął się jeszcze raz i odszedł.

Dziewczyny weszły do środka.

- O rany - skomentowała Sharla. - A moja mama

uważa, że w moim pokoju jest niehumaniczny bałagan. Wygląda na to, że wolne duchy nie wiedzą, co to porządek.

- Dlaczego ludzie nazywają Stevena wolnym duchem? - Meredith nic mogła dłużej ukrywać ciekawości.

Sharla przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Ponieważ pojawia się i znika, kiedy ma na to ochotę.

- Od czego zaczynamy? - spytała niecierpliwie Holly, jakby się gdzieś spieszyła.

- Chyba od wystawienia rzeczy na zewnątrz. Potem zajmiemy się ścianami.

Przekładała stertę starych gazet, kiedy jej uwagę przykuła zaklejona koperta włożona między czasopisma. Nadawcą była kancelaria prawnicza w Box Elder.

- Czy słyszałyście kiedyś o Box Elder? - spytała, starając się, by jej głos brzmiał obojętnie.

Pokiwały głowami. Słyszały, ale nie wiedziały, gdzie to jest.

- To pewnie jakaś zabita deskami dziura. Dlaczego pytasz?

- Jestem tu nowa. Tak tylko...

Dziewczyny wróciły do pracy. Systematycznie opróżniały pokój. Holly i Sharla rozprawiły o tańcach, chłopcach i ciuchach. Meredith zastanawiała się, czy Steven jeździ na tańce. I dlaczego, do diabła, wszyscy tutaj nazywają go wolnym duchem? Jakie interesy mógł mieć w Box Elder? Gdzie to jest? I dlaczego nie otworzył tego listu? To mogła być jakaś ważna wiadomość.

Steven wyczuł wibracje podłogi, kiedy tylko wszedł do środka. Muzykę usłyszał dużo wcześniej, gdy parkował samochód dwie przecznice stąd.

Od razu zrozumiał, dlaczego tutejsi mieszkańcy zachwycają się zespołem braci Andersonów. Przez lata Neil, Ned i Norbert grali na piknikach, imprezach okolicznościowych, festynach i innych uroczystościach. Ostatnio, każdej soboty można ich było posłuchać w Miejskim Ośrodku Kultury. Steven rozejrzał się po sali, by znaleźć jakieś znane twarze. Nie było to łatwe, odkąd na zabawy do Jasper Gulch zaczęły przyjeżdżać dziewczęta z okolicznych miejscowości. Wśród tańczących na parkiecie nie dostrzegł tej, której szukał.

- Steve! - zawołał go Billy Schmidt, siedzący obok Paula i młodszej córki Sherry Avery.

- Cześć, Billy.

- Chłopcy są dzisiaj świetni.

Steven nie mógł zaprzeczyć.

- Podobno Neil ma wieczorem coś ogłosić - oznajmił Boomer Brown.

- Też o tyra słyszałem - przytaknął Jed Harley,

Steven spojrzał na nich nieco nieprzytomnie. Nie słyszał najświeższych plotek, bo od trzech dni nie ruszał się z rancza.

Nagle, gdy tłum się przeredził, dostrzegł Meredith. Nie on jedyny ją obserwował. Cóż, każdemu wolno patrzeć. Tutejsi chłopcy po prostu podziwiali młodą, piękną kobietę, i tyle.

- Witaj, Steven - przywitał go rudowłosy ranczer. - Gzy jej czar zadziałał już w twoim domu? - Serce podskoczyło Stevenowi do gardła.

- Jej czar?

- Zająłeś pierwsze miejsce w konkursie na nazwę sklepu.

Ach, tak, o to chodzi.

- Tak, przyszła, kiedy mnie nie było. Nie wiem, jak to zrobiła, bo pokój wciąż wygląda jak mój, tyle że o niebo lepiej.

To prawda. Nie zrobiła nic, co kłóciłoby się z jego gustem. Starą podłogę pomalowała na ciemny, cynamonowy kolor, ściany były w tej samej tonacji, tylko nieco jaśniejsze. Na kanapie leżała nowa narzuta, ale większość starych drobiazgów pozostała na swoich miejscach. Na ścianie zawisł obraz mężczyzny i konia na szlaku, nad drzwiami lśniła złota podkowa, na szczęście.

- Pomyślała o wszystkim - przyznał.

- Szkoda, że nie ma tu więcej samotnych kobiet w jej typie. Jest niezwykła, wrażliwa na piękno, prawda?

Wrażliwa na piękno i piękna. Taka właśnie była Meredith. Obserwował ją teraz z czułością. Zdawał sobie sprawę, że ostatnio nie był dla niej miły. To niewybaczalne. Utwór się skończył i Steven uznał, że to dobry moment, by podejść do Meredith.

- Cześć - powitał ją.

Meredith podniosła wzrok i uśmiechnęła się. Andersenowie zaczęli grać jakiś wolny kawałek.

- Zatańczysz? - spytał, gdy znalazł się tak blisko, że mógł poczuć jej zapach.

Serce biło jej szybko, ale wiedziała, że to nie z powodu poprzedniego tańca. Tańczyła tej nocy z wieloma mężczyznami, ale żaden oprócz Stevena nie przyprawiał jej o taki zawrót głowy

Zaprowadził ją, na środek parkietu Przymknęła oczy, marząc o tym, by przytulić się do niego. Ze wszystkich sił starała się jednak zachować między nimi bezpieczny dystans

- Długo tu jesteś? - spytała.

- Wystarczająco długo. by zauważyć, że tańczysz z każdym samotnym facetem przed osiemdziesiątką.

- Nic zrobiłam niczego, czego bym nie zrobiła również dla ciebie. - Nie zareagowała na sposób, w jaki objął ją w pasie - Miałam na myśli taniec, Steven.

~ Wiem, Meredith. To nie twoja wina, że nie mogę zapomnieć tej nocy, kiedy się kochaliśmy.

Zastanawiała się, co odpowiedzieć.

- Lubię cię - Spojrzała przez jego ramię na inne tańczące pary. - Samotne kobiety chyba nieźle się tu czują?

Obrócił ją bez ostrzeżenia, a kiedy się nachylił, głośno się roześmiała Nagłe ktoś klepnął Stevena w ramię. Zaskoczony zatrzymał się, by zobaczyć, kto im przeszkadza. Clive Hendricks zachichotał, jakby usłyszał właśnie świetny dowcip.

- Skoro miałeś ją już całą dla siebie, może ja zrobię jedna rundkę



Meredith wyprostowała się.

Clive nie był brzydki, ale jego śmiech odstraszał otoczenie. Nie bała się go, ale też nie darzyła sympatią.

- Nie sądzę... - zaczęła.

- Ależ oczywiście, że tak, skarbie. - Clive patrzył jej prosto w oczy.

Że też akurat Steve musiał w tej chwili wdać się z kimś w rozmowę. Clive posłał jej kolejny uśmiech. Stał tak blisko, jakby chciał wyrwać Meredith z ramion Steve'na, Steve ścisnął ją mocno za rękę.

- Przyglądałeś się kiedyś swojemu nosowi, Clive? - spytał ironicznie.

Clive podniósł grube palce i przytknął je do szramy na nosie, pamiętce po burzliwej awanturze z doktorem Kincaidem, który bronił honoru Louetty Graham.

- Nie, a bo co?

- To dobrze - odpowiedział Steve. - Nie ma sensu go oglądać, skoro raz po raz ktoś ci go łamie.

Uśmiech znikł z twarzy Clive'a, w jego miejsce pojawił się grymas. Meredith próbowała opanować rozedrgane nerwy. Steven pokazał Clive'owi, gdzie jego miejsce. Ocalił ją. Nie jak rycerz na białym koniu, raczej jak czarodziej, który jednym machnięciem różdżki odgania złe moce. Nikt wcześniej czegoś takiego dla niej nie zrobił.

Kiedy pierwszy raz się spotkali, rzuciła się bez namysłu w jego ramiona, choć zazwyczaj tak nie postępowała. To było dziwne doznanie. Inne od wszystkiego. Porażające. Zupełnie jak... miłość.

Pomyliła kroki, ugięły się pod nią nogi.

- Co się stało? - spytał, zatrzymując się.

Energicznie pokręciła głową. Czuła, że zaschło jej w gardle. Musiała usiąść. Następną rzeczą, która do niej dotarła, był głos Neila Andersona.

- Drodzy przyjaciele- zaczął głośno Neil. -- Chciałbym wam zająć minutkę. Meredith, chodź tutaj, moja droga. Powinnaś być teraz na scenie-.

Przez salę przeszedł szmer zainteresowania. W świetle reflektora Meredith poczuła się osaczona, jak sarna oślepiąca światłami samochodu.

Z wymuszonym uśmiechem wstała i ruszyła w stronę sceny. Steven został sam na parkiecie. Gdyby ktoś teraz na niego spojrział, zauważyłby napięcie malujące się na jego twarzy. Ale nikt nie patrzył na Stevena Buchanana. Pilnie przyglądano się kobiecie w błękitnej sukni, która właśnie weszła na scenę.

Bracia Andersonowie uśmiechali się tajemniczo, jakby trzymali coś w zanadru. Steven nie, przypominał sobie, by kiedykolwiek widział ich tak szczęśliwych i poruszonych. Gdy Neil wziął Meredith za rękę, Steven bezwiednie zgniół trzymaną, w rękę kieliszek. Zaklął cicho, pod nosem, nie spuszczać oczu ze sceny.

- Moi drodzy - zaczął Neil, - Mam przyjemność coś ogłosić. Zauważyliście pewno ostatnio, że zaczęliśmy zrzedzić jak stare baby, zwłaszcza ja. Meredith otworzyła mi oczy. Część z was będzie szczęśliwa, bo w mieście ubędzie kawalerów. - Uśmiechnął się do Meredith.

Steven skulił się. Poczł ból, jakby ktoś zdzielił go pięścią prosto w żołądek.

- Meredith coś mi zasugerowała, a ja postanowiłem jej posłuchać - mówił z namaszczeniem Neil.

Steven nie słuchał dalej, wyszedł z sali zdecydowanym krokiem, nasuwając kapelusz głęboko na oczy.

Meredith uparcie szukała wśród tłumu ciemnowłosego, wysokiego mężczyzny. Neil i jego bracia wybrali sobie kiepski moment. Właśnie przed chwilą zrozumiała, że jest zakochana. Chciała jak najszybciej odnaleźć Stevena. Gdzie on jest? Jej uwagę przykuły gwałtownie zamknięte się drzwi wejściowe. Chwyła za mikrofon.

- Neil usiłuje powiedzieć, że... - jej głos zamarł, gdy zobaczyła przez otwarte okno znikającą w ciemnościach sylwetkę Stevena.

- To twoja decyzja, zatem ty im powiedz - szepnęła, oddając mikrofon Neilowi.

- Dokąd idziesz?

- Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. Dobranoc.

Zbiegła po schodach i zatrzymała się dopiero na chodniku, by złapać oddech.

Steven szedł w kierunku samochodów zaparkowanych przy głównej drodze,

- Wybierasz się gdzieś?! - zawołała za nim. Zwolnił, ale się nie zatrzymał.

- Mam nadzieję, że będziecie z Neilem szczęśliwi.

- O czym ty mówisz?

- Jesteś sprytna. Wszystko sobie świetnie obmyślałaś. Powiedz mi, jemu też wmawiałaś, że jest ojcem dziecka?

- Ojcem?! Steve, czy możesz się zatrzymać i mnie wysłuchać? - Próbowała za nim nadażyć. - Neil wyjeżdża z Jasper Gulch,

- Dokąd jedziecie?

- Nigdzie się z nim nie wybieram.

- Steven zatrzymał się.

- Wiesz Steven, jak na wolnego, ducha, to jesteś trochę za mało domyślny. Przeprowadziłam się do Jasper Gulch, by być blisko Logana i Oliwii. Tu jest moja rodzina. Tu mam sklep.

I tu mieszkał ojciec jej dziecka. Tak szybko biegła, że teraz z trudem łapała oddech.

- Tak. Chcę zostać w. tyra miasteczku, w przeciwieństwie do Neila, Norberta i Neda, którzy nie są tu szczęśliwi. Nie chcą zbierać kukurydzy ani paść koni, nie bawi ich to. Chcą grać. Słyszałaś ich, wiesz, że mają talent. Nie powinni tego marnować. Dlatego jadą do Nashville.

W końcu na nią spojrzął.

- Chcesz przez to powiedzieć, że Neil poprosił cię na scenę, bo...

Skinęła głową.

- Nie miał na myśli...

Zaprzeczyła, uśmiechając się.

- Zatem, wy nie jesteście...

Wmawiała sobie, że Steven nie zasługuje na łagodne traktowanie, ale trudno jest postępować wbrew sobie.

- Zatem?

- To wszystko, co masz do powiedzenia?

Podszedł bliżej, zdjął kapelusz i objął ją w pasie tak niespodziewanie, że nie miała czasu się cofnąć.

Nie miała siły, by mu się opierać. Oplotła go rękami za szyję, a ustami przywarła do jego gorących warg. Pieścił je zachłannie, upojony ich smakiem.

Meredith była przekonana, że serce za chwilę wyskoczy jej z piersi. Pragnęła, by ten pocałunek trwał całą wieczność.

Ale Steven miał inne plany. Pragnął jej ust bardziej niż kiedykolwiek, ale przerwał gwałtownie pieściznę. Musnął dłonią policzek Meredith.

- Na pamiętkę - odezwał się stanowczym głosem, przerywając ciszę. Przełknął ślinę, a jego głos był mocniejszy niż pocałunek. - Na pamiętkę - powtórzył.

Nie powiedział już ani słowa, dopóki nie dotarł do samochodu.

- Jeszcze jedno. - Otworzył drzwiczki, wsiadł i wychylił się przez okno. - Cieszę się, że nie wyjeżdżasz z miasteczka.

Nigdy, nawet jeśli dożyje stu lat, nie zapomni--"dzisiejszego, wieczora. A czuła się. cudownie, jak nigdy przedtem.

Sądziła, że Steven zapali silnik i odjedzie; kiedy tego nie zrobił, spojrzała na niego z niepokojem.

- Poczuję się lepiej, wiedząc, że dotarłaś bezpiecznie do domu.

Mogła mu odpowiedzieć, że potrafi o siebie zadbać, i to od bardzo dawna. Sięgnęła jednak grzecznie do kieszeni i wyjęła klucze.

Otworzyła drzwi i weszła do sklepu. Nogi zupełnie odmawiały jej posłuszeństwa, jakby przed chwilą biegła w maratonie.

Zapaliła lampkę i wyjrzała przez okno. Stała tak, dopóki tylne światła furgonetki Stevena nie znikły w ciemnościach.

Zatem tak wygląda miłość. Usiadła na krześle, szczęśliwa, oszołomiona i trochę przerażona. Sądziła, że to delikatne uczucie, a tymczasem przypominało toczący się gwałt. Miało równie wielką siłę i było równie gwałtowne,

- Wiesz, co? - Dotknęła delikatnie brzucha. - Jestem zakochana w twoim tatusiu.

Nie bardzo wiedziała, co teraz robić. Jednego jednak była pewna. Miłość to siła, która zmienia nasze życie, czy tego chcemy, czy nie.

Meredith już drugi dzień nie miała wiadomości od Stevena.

W-poniedziałek zdecydowała się pojechać do Lone M, by go zobaczyć. Załadowała samochód drobiazgami, które mogły się przydać do wykończenia mieszkania Jake'a i Josie. Skoro już tam będzie, zerknie przy okazji na pokój Stevena,

Podziękowała Josie za kawę i skierowała się do mieszkania Stevena.

Zapukała, ale odpowiedziała jej cisza. Stevena nie było w domu. Trzymając w jednej ręce kosz owoców, a w drugiej parę rolek tapety, weszła do środka. Rozejrzała się, podziwiając efekty swojej pracy. List, który ostatnio tak przykuł jej uwagę, zniknął. Zastanawiała się, czy wrócić do Josie i spytać ją o Steve'a, ale nagle zobaczyła przez okno uchylone drzwi warsztatu. Ktoś tam pracował.

- Przepraszam — odezwała się grzecznie do starszego mężczyzny pochylonego nad maską traktora.

- Tak? - spytał, nie podnosząc głowy.

Zanim odpowiedziała, sam się odezwał:

- Spójrz na ten silnik. Znowu spaprali robotę. Dwa dni temu nie było go widać zza brudu. A dziś, proszę, jak nowy.

Podeszła bliżej.

- Potrafi pan naprawić takie rzeczy? - spytała.

- Jedyne, czego nie potrafię naprawić, to złamane serca. Właśnie skończyłem z gaźnikiem. - Nazywam się Slappy. Slappy Purvis.

- Naprawdę nazywa się pan Slappy?

- Właściwie to Reginald Purvis, ale jeśli pani komuś powie, zaprzeczę.

- Meredith uśmiechnęła się.- Mężczyzna miał ciemną opaleniznę i trochę pomarszczoną skórę. Na oko wyglądał na siedemdziesiątkę. Meredith od razu poczuła do niego sympatię.

- Widział pan może Stevena?'- spytała.

- Powinien wrócić koło dziesiątej. Pojechał po coś do miasta.

- Gdzie on tak często jeździ?

- Gdzie mu się podoba.

- Pytał pan go kiedyś o to?

- Raz lub dwa.

- I co?

Spojrzał na nią spod białych, krzaczastych brwi.

- Steven nie lubi, jak ktoś wtrąca się w jego życie. Meredith westchnęła.

- Zostawiłam mu na stole kosz owoców. Jak pan zobaczy Stevena, proszę mu powiedzieć, że tu byłam.

Slappy mruknął coś pod nosem, ale skinął głową. Wracając do samochodu, Meredith zastanawiała się, jak to możliwe, że Steven Buchanan znika, kiedy chce, i nikt go o nic nie pyta. Nikt nie ma odwagi? A może nikogo to nie interesuje?

Był ojcem jej dziecka, a wciąż dowiadywała się o nim czegoś nowego. Nie wszystko potrafiła zrozumieć. Może miejscowi nie byli zbyt dociekliwy, ale ona nie spocznie, dopóki nie odkryje prawdy. Tak czy owak, kochała go, dlatego chciała go jak najlepiej poznać. Może było to ryzykowne, ale przecież w życiu nie da się uniknąć wszystkich niebezpieczeństw. Ryzykiem było opuszczenie domu w wieku siedemnastu lat, porzucenie świetnej pracy w Chicago i przeprowadzka do miasteczka, które trudno znaleźć na mapie.



A największym ryzykiem było pójście ze Stevenem do łóżka pierwszego dnia znajomości.

Spędziła z nim jedną, cudowną noc. Dwa miesiące później poprosił ją o rękę. Te dwa fakty dawały jej prawo do ingerowania w życie Stevena. Tak, oczywiście, każdy przyznałby jej rację.

Jechała jedyną drogą prowadzącą do Jasper Gulch. Skręciła w wypatrzoną kilka dni wcześniej niewielką dróżkę i zaparkowała samochód. Dzięki Bogu, auto było zielone i nie rzucało się w oczy.

Znalazła Box Elder w atlasie samochodowym. Według jej wyliczeń jazda nie zajmie jej więcej niż dwie godziny. Wyglądało na to, że miasto nie jest dużo większe od Jasper Gulch.

Siedziała w samochodzie, rozmyślając, kogo Steven tam odwiedza. Może ma żonę? I zielonookie, czarnowłose dzieci?

Wątpliwości i obawy odbierały jej spokój ducha i trzeźwość umysłu. Musiała poznać odpowiedzi na te pytania. Po prostu musiała.

W końcu na horyzoncie pojawiła się zakurzona, srebrna furgonetka Stevena. Jechała na zachód.

Meredith odczekała chwilę, potem ruszyła za nią, zachowując bezpieczny dystans.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Meredith nie była pewna, czy Steven jedzie do Box Elder. Wiedziała tylko, że zmierza na zachód, a Box Elder znajdowało się na zachodzie. Starła się pozostawać za nim w takiej odległości, by nie rozpoznał jej samochodu. Nie było to łatwe, gdyż Steven nie jechał zbyt szybko, co kłóciło się z powszechnie panującą opinią, że często przekracza dozwoloną prędkość.

Straciła go z pola widzenia, gdy rozdzieliła ich duża ciężarówka z przyczepą.

Prawie nabrała pewności, że Steven gdzieś zjechał, lecz zauważyła jego srebrną furgonetkę na zakręcie.

Chwilę później przyhamował. Przez chwilę sądziła, że ją dostrzegł. Wtedy zorientowała się, że zwolnił przy stacji dla ciężarówek, gdzie pierwszy raz się spotkali. Czy to możliwe, że wciąż wspominał ich wspólną noc? Meredith nigdy jej nie zapomni.

To było tak dawno...

Jechała wtedy z Minneapolis do domu Kate, nie śpiąc, nie jedząc, zatrzymując się tylko po to, by zatankować paliwo.

Dom był zimny, wilgotny i pusty. Dusty i Kate nie

żyli. a Logan i Oliwia wyjechali do ojca chrzestnego na ranczo, gdzieś w pobliże miasteczka o nazwie Jasper Gulch.

Meredith stała w kuchni przy zlewie. Patrząc przez okno. przyglądała się zroszonej deszczem, pustej teraz huśtawce. Czuła na wargach słony smak łez, miała ściśnięte bólem gardło.

Zwlekała zbyt długo, a teraz było już za późno na pojednanie z jedyną siostrą.

W końcu uspokoiła się na tyle, że mogła opuścić dom Kate. Stojąc na podjeździe, uświadomiła sobie, że nie ma dokąd pójść, nie ma z kim dzielić swego bólu.

Deszcz moczył jej włosy i spływał po ubraniu, rozpryskując się wokół kostek i przenikając do butów.

W końcu dobrnęła do samochodu i odjechała.

Prosto przed siebie, byle dalej. Nieważne, dokąd. Drżała. Nie pomogło ogrzewanie w samochodzie. Nic nie mogło powstrzymać tych silnych dreszczy.

Było późno. Poza zmęczoną kelnerką, która zastępowała też kucharkę, jedyną osobą w lokalu był zielonooki mężczyzna. W jego wzroku wyczytała pustkę. Taką samą, jaka zżerała jej obolałą duszę.

Nie odzywali się przez dłuższą chwilę. W końcu ją zagadnął:

- Nie ma jak piękna wiosna w Dakocie Południowej, prawda?

Uśmiechnęła się. Mężczyzna przysiadł się do jej stolika. Zapadł już zmrok, deszcz przybierał na sile.

Gdy tak siedziała naprzeciw mężczyzny, który przedstawił się jako Steven, powoli zaczynało ją ogarniać ciepło, pulsując, rozgrzewając jej pierś i stopniowo rozchodząc się po całym ciele. Im dłużej rozmawiali, tym mniej czuła się samotna, pusta i zmarznięta.

Słyszała już wicie porzekadeł na temat przeznaczenia i znaków zapisanych w niebie. Lecz aż do tego wieczoru nic wierzyła w takie bzdury.

Zapytał ją, gdzie mieszka.

- Nie wiem. Chyba nigdzie. To nie ma znaczenia - odpowiedziała głosem wypranym z emocji.

Dostrzegł, że jest krańcowo wyczerpana i zaproponował jej nocleg. Nie miała sił, by odmówić. On miał spać na kanapie, jednak gdy już dotarli do jego domu, nawiązała się między nimi nić porozumienia. Zauważyła, że starał się kontrolować, lecz najwyraźniej potrzebował bliskości tak samo rozpaczliwie, jak ona. Przez kilka krótkich godzin była bezpieczna w jego ramionach.

Steven wyłączył światła stopu. Meredith natychmiast powróciła do rzeczywistości. Pomyliła miłość z poczuciem wyzwolenia, czułością i oszałamiającym pożądaniem, które stało się ich udziałem owej nocy. Dlaczego tak się zadręcza? Była niemal pewna, że on nie pamięta, gdzie się poznali. Co gorsza, być może tamta noc była dla niego jedynie kolejną miłą, niezobowiązującą przygodą. Najprawdopodobniej teraz zatrzymał się tutaj, bo postanowił coś przekąsić. Może wczesny lunch? Nie, chyba nie, bo zbyt szybko ponownie ruszył w drogę.

Meredith ruszyła za nim. Ponieważ wciąż od czasu do czasu zbierało jej się na mdłości lub ogarniał ją nie-ludzki głód, nie wybierała się nigdzie bez odpowiedniego przygotowania. Żując kawałki jabłka i popijając herbatę z termosu, słuchała piosenek country.

Znów rozdzieliła ich ogromna ciężarówka z przyczepą. Później widok zasłonił jej szary autobus. Zaczynała się zastanawiać, jak daleko Steven zamierza jechać, kiedy autobus skręcił, i wówczas zdała sobie sprawę, że szosa przed nią jest pusta. Chwyciła mocniej kierownicę. Wy-tężyła wzrok. Szczęśliwie zauważyła mały znak ze strzałką wskazującą drogę do Box Elder.

Skręciła, i już po chwili minęła granice miasteczka.

Gdzie jest Steven?

Jak w większości małych miasteczek, centrum w Box Elder nie robiło oszałamiającego wrażenia. Panowała tu nieco senna atmosfera, Meredith minęła restaurację, sklep z artykułami żelaznymi, zakład fryzjerski i biuro ubezpieczeniowe. Kilka samochodów stało przed knajpką. Nie widziała wśród nich wozu Stevena.

Sprawdziła boczne ulice. Dostrzegła dziewczynkę i chłopca sprzedających lemoniadę na rogu ulicy. Zgasiła silnik i wysiadła.

Dobrze było rozprostować nogi. Zapłaciwszy dolara za kubek ciepłej lemoniady, uśmiechnęła się do dzieci.

- Jak idzie interes? - zapytała.

- Nie za dobrze - odpowiedział chłopiec. - Jest pani naszym drugim klientem, a siedzimy tutaj od godziny.

To tłumaczyło wysoką temperaturę napoju.

- Czy któreś z was zauważyło może srebrną furgonetkę?

- To ty znasz Stevena? - wykrzyknęła radośnie dziewczynka. - Był naszym pierwszym klientem. Jest u Grace.

U Grace? Meredith poczuła, że kręci jej się w głowie. Steven odwiedza kobietę? Zanim głos do reszty odmówił jej posłuszeństwa, zdażyła wykrztusić:

- Gdzie mieszka Grace?

Informacja kosztowała ją jeszcze jednego dolara i kolejny kubek ciepłej lemoniady.

Siadła za kierownicą, pomachała dzieciom na pożegnanie i ruszyła naprzód, powtarzając w myślach usłyszane wskazówki.

Nie był to dom, jaki spodziewała się ujrzeć. A zobaczyła stary, nadgryziony zębem czasu budynek z wąskim, zaniedbanym gankiem. Trawa była bujna, a krzewy przerosnięte. Żadnych psów leniwie odpoczywających w cieniu drzew, żadnych dziecięcych rowerków niedbale opartych o schody.

Tak więc padła jej teoria, według której Steven był szczęśliwym ojcem tuzina zielonookich dzieciątek. Właściwie to dom sprawiał wrażenie opuszczonego.

Proszę, modliła się żarliwie, wysiadając z samochodu, spraw, by Grace nie okazała się żoną Stevena.

Zanim postawiła stopę na pierwszym schodku, zakrzywiały drzwi i stanęła twarzą w twarz ze Stevenem.

Na chwilę oboje zastygli. Przez umysł Meredith przemknęła setka inteligentnych uwag i pytań. Otworzyła usta i wygłosiła jedno z nich:

- Kim jest Grace? - Zacisnęła usta. Nie spisała się najlepiej.

-- Skąd wiesz o Grace? - odpowiedział pytaniem.

To nie wróżyło niczego dobrego.

- Od dzieci sprzedających lemoniadę.

Ściągnął z głowy kapelusz, przeczesał palcami włosy, potem ponownie nasunął go na czoło.

- Nic tu się nie ukryje. Zawsze tak było. Nazywała się Grace Miller.

Dopiero po chwili Meredith odważyła się zapytać:

- Nazywała?

- Umarła.

-- Umarła?

Meredith nie tylko źle rozpoczęła, ale w dodatku zachowywała się jak lekko niedorozwinięta. Steven zignorował jej pytanie, zapatrzony w jakiś odległy punkt na horyzoncie.

- Czy była ładna?

Tym razem spojrzał na nią tak, jakby rzeczywiście postradała zmysły.

- Była krzykliwą, kłótniwą, nieznośną babą, pełną nawiści do całego świata. I... była moją babką.

- Grace była twoją babcią? - Ugięły się pod nią kolana. Kurczowo trzymając się poręczy, zaczęła powoli osuwać się na schody.

Steven w porę ją podtrzymał, potem usadowił ostrożnie na stopniu.

- Dobrze się czujesz?

- Muszę zaraz coś zjeść. Wyobraziłam sobie, że Grace to twoja żona albo kochanka, że macie wspólny dom pełen dzieci.

- Już dawno temu postanowiłem, że ród Buchananów wygaśnie na mojej osobie.

Spojrzenie, którym obdarzył jej brzuch, było niezwykle wymowne. Wciąż nie wierzył, że to jego dziecko. Dlaczego? Czy istniał jakiś konkretny powód?

- Kiedy zmarła Grace? - zapytała.

- Wracalem z jej pogrzebu tego wieczoru, gdy się poznaliśmy - rzekł pustym głosem. - Wychowywała mnie po odejściu matki. Miałem wobec niej dług wdzięczności. Dawałem jej pieniądze, pilnowałem, żeby dach był szczelny, a lodówka pełna.

- Tęsknisz za nią?

Parsknął pogardliwie.

- Tak samo, jak tęskni się za gripą.

- Było was tylko dwoje? - zapytała. - Ty i babcia? Znów parsknięcie.

- Nigdy nie nazywałem jej babcią. Za rodzinę uważałem wyłącznie ojca, którego nie znałem. Uciekłem z domu, by go odszukać, gdy miałem czternaście lat. Zajęło mi to dużo czasu. Moja matka nie miała zbyt chlubnej przeszłości.

- Ale odnalazłeś go?



- Nie warto było, wierz mi.
- A mama?
- Porzuciła mnie, gdy miałem osiem lat. Grace zdecydowała, że zamieszkać tutaj. Dziadek zmarł, zanim się urodziłem. Drugi mąż Grace odszedł już po roku małżeńskiej sielanki. Matka wracała kilka razy, żeby mnie zabrać. Ostatecznie jednak wiązała się z następnym pantanem, co kończyło się tak, że -pakowano mnie do autobusu, który przywoził mnie z powrotem do tego miasteczka. Tu miałem przynajmniej swój pokój i w miarę regularne posiłki. To lepsze niż wieczna tułaczka. Grace nigdy nie pozwoliła mi o tym zapomnieć. Mieszkałem z nią, dopóki nie skończyłem siedemnastu lat. Wtedy zmarła matka. Grace naprawdę ciężko to zniosła. Później pojawiałem się od czasu do czasu, żeby sprawdzić, jak sobie radzi. Tak wiele jej zawdzięczałem. Nigdy nie usłyszałem od niej słowa „dziękuję”, ani razu. Nigdy też nie powiedziała mi niczego miłego. Nauczyłem się by tego nie oczekiwać.

Meredith pomyślała, że nie" polubiłaby jego rodziny.

Przynajmniej trochę rozjaśniło jej się w głowie. Coraz lepiej rozumiała Stevena Buchanana. Ponieważ nie zaznał nigdy od ludzi niczego dobrego, wolał zachowywać bezpieczny dystans. Co więcej, wierzył, że nikt nie jest mu potrzebny.

- Co stanie się z domem? - zapytała. Steve nie odpowiedział. Sama się domyśliła. - Grace zostawiła go tobie, prawda?

- . Steve syknął,
- Zamierzam go sprzedać.

Zapadło milczenie.

Poczuła, że bardzo uważnie jej się przygląda. Wreszcie powiedziała:

- Naprawdę jechałaś za mną aż do Box Elder, bo myślałaś, że mam kochankę i gromadkę dzieci?

- Właściwie to oczyma wyobraźni widziałam szóstkę zielonookich urwisów, - Uśmiechnęła się. Kiedy odpowiedział uśmiechem, coś w niej drgnęło.

- Wiem, co to znaczy trudne dzieciństwo. Jesteś dobrym, przyzwoitym człowiekiem. Jeżeli nie wyniosłeś tych cech z domu, muszą być nieodłączną częścią twojej osobowości. To dobrze. Jestem więcej niż pewna, że nasze dziecko będzie cudowne.

Pomyślał chwilę, a potem powiedział:

- Poprosiłem cię, żebyś za mnie wyszła. Odmówiłaś. Jeżeli dziecko naprawdę jest moje, cóż innego mógłbym zaproponować?

Jeżeli. Nie mogła zignorować tego małego słówka wcześniej, nie mogła też teraz.

- Nie traktuj tego jako odrzucenia.
- A jak?
- Powiedziałam, że nie znam cię na tyle dobrze, by cię poślubić.

Powoli wstał.

- Nie rozumiem różnicy. Dla mnie brzmi to jak odmowa. Trudno...

Uśmiechnęła się pomimo jego protekcyjnego tonu.

- Nie to- miałam na myśli.
- Czy to znaczy, że za mnie wyjdiesz? - zapytał.
- Niedokładnie.
- A co dokładnie?
- To znaczy, że być może.
- Być może.

Znów się uśmiechnęła. Nic nie mogła na to poradzić. Po prostu podobało jej się, że teraz to on powtarza bezmyślnie jej słowa.

- Tak. To znaczy, być może.

Nagle słońce grzejące Stevena w plecy, zaczęło mu szczególnie doskwierać.

- Kiedy być może zechcesz za mnie wyjść? - zapytał sarkastycznie.

Jej oczy, bystre i łagodne, zasnuła leciutka mgła.

- Nie jestem pewna - odparła - ale na pewno będę wiedzieć, gdy nadejdzie odpowiednia pora.

- Gubię się w tym, Meredith. Dla mnie zabrzmiało to nieco mętnie. Zadałem ci proste pytanie, a ty zaczęliśmy filozofować.

- Nie martw się, Steven. Obiecuję, że będziesz pierwszym, który pozna odpowiedź.

- Co będziemy robić do tego czasu? - Spojrzał na jej usta, co było poważnym błędem. Już i tak musiał się nieustannie pilnować, by trzymać ręce przy sobie.

- Chciałabym cię lepiej poznać.

Steven poczuł dławienie w gardle. Poza kilkoma na-

uczycielami, starszkiem, który wziął go pewnego lata pod opiekę i nauczył, jak ujeżdżać konie, oraz Jakiem McKenna, nikt nigdy nie poczynił większych wysiłków, aby go lepiej poznać.

- Jak zamierzasz się do tego zabrać? - zapytał cicho. Właściwie, mógł jej udzielić kilku cennych rad.

- Może wpadniesz do mnie na obiad w sobotę?

Obiad? Nie o to mu chodziło.

•- Może będzie lepiej, jeśli wpadnę na kolację. A więc w sobotę? - upewnił się.

- Tak. Może wolałbyś w niedzielę?

- Chcesz coś dla mnie ugotować?

- Chyba, że ty wolisz się tym zająć.

Wyciągnął przed siebie obie ręce, tak jakby się przed czymś bronił.

- Umiem robić grzanki z serem, chili i jajecznicę. A może poszlibyśmy gdzieś na "kolację? W ten sposób nie będziesz musiała się trudzić.

Meredith zdawała się rozważać jego zaproszenie. W końcu położyła dłoń na brzuchu i odpowiedziała z promiennym uśmiechem:

- Z prawdziwą przyjemnością zjem posiłek w twoim towarzystwie.

Chociaż nie zawiesiła głosu, Steven usłyszał słowo „ale”, zanim jeszcze wypowiedziała je na głos.

- ALe myślę, że powinniśmy zachować dyskrecję. Tylko ty i ja, przynajmniej na razie.

Ta- sugestia nie przypadła mu do gustu.

- Zaufaj mi. - Wyczuwając, że prosi o zbyt wiele, Meredith szybko pożegnała się i odjechała.

Steven jeszcze długo stał bez ruchu, jak zahipnotyzowany. Śledziła go aż do Box Elder. Wciąż nie mógł uwierzyć, że to zrobiła. Nikt nigdy nie zdobył się na coś podobnego. Może ona rzeczywiście była inna niż pozostałe kobiety. Na pewno bardzo różniła się od tych, które poznał. Być może rzeczywiście nie rzuca słów na wiatr. Być może.

A może wcale nie.

Steven przysiadł na platformie furgonetki. Zastygł tak bez ruchu, opędzając się tylko od czasu do czasu od natrętnych much.

Meredith obiecała mu kolację, ale chyba niezbyt się wysiliła, skoro nie było jej nawet w domu. „Zaufaj mi”, powtórzył w myślach jej słowa.

Tak, jasne.

Umówili się na dziewiętnastą. Przyjechał pół godziny przed czasem. Teraz dochodziła dwudziesta. Był coraz bardziej głodny i rozdrażniony. A może nie tyle rozdrażniony, co po prostu zły. Wściekły.

Restaurację zamykano w soboty o dziewiętnastej. To oznaczało, że było już za późno, żeby tam iść. Poderwał się gwałtownie. Możliwe, że trzasnął drzwiczkami z siłą większą, niż to było konieczne. Możliwe też, że Meredith to zauważyła. Właśnie wjechała w uliczkę i zaparkowała

tuż obok niego, raniej więcej w tej samej chwili, gdy on zamierzał odjechać.

- Steven! Co ty tutaj robisz?

- Jak to, co tutaj robię? Jest dwudziesta. Umawialiśmy się na dziewiętnastą.

Zmarszczyła brwi.

- Owszem, ale spodziewałam się ciebie jutro.

- Byłem pewien, że umówiliśmy się na sobotę.

- A potem wspomniałam o niedzieli. Ojej. Chyba nie zrozumieliśmy się, prawda?

I po sprawie. Żadnego zrzucania winy na wszystkich wokół, żadnych wymówek, tylko proste podzielenie się odpowiedzialnością i spokojna akceptacja. Jednak Steven nie potrafił powstrzymać się od kpiącego grymasu. To było silniejsze od niego. Na szczęście Meredith sięgała właśnie po białą papierową torbę i niczego nie zauważyła. Gdy się wyprostowała. Steven już w pełni panował nad mimiką.

- A swoją drogą, gdzie byłaś? - zapytał.

- Natknęłam się w gazecie na ogłoszenie o wyprzedaży mebli w Murdo. Nie znalazłam tam nic ciekawego, ale gospodarz domu sprzedawał kanapki z pieczeniem. Dla mnie jest za duża. Podzielię się z tobą. - Wręczyła mu połowę zawiniątka, nie czekając na odpowiedź. - Skoro już się spotkaliśmy, to możemy trochę pogawędzić. Jaki jest twój ulubiony kolor?

Steven zatopił zęby we wspaniałej kanapce, po czym rzekł niewyraźnie:

- Chyba niebieski.

- Ja uwielbiam wszystkie odcienie zieleni. Jakie przedmioty szkolne najbardziej lubiłeś? Nic, zaczekaj. Pewnie wszystko, czego uczyła panna Larsen, czy tak?

Omiótł spojrzeniem jej usta, potem szyję i piersi.

- Tak naprawdę to była matematyka - odpowiedział po namyśle.

- Ja wolałam plastykę i muzykę. Jak masz na drugie imię?

- Chance.

- Chance, naprawdę? Jaki jest twój ulubiony program telewizyjny?

- Nie wiem. Nie mam telewizora. Co ty wyprawiasz, Meredith?

- Próbuję lepiej cię poznać. Byłoby łatwiej, gdybyś przestał się gapić na mój biust.

Może jej byłoby łatwiej, pomyślał. Stawiała mu wysokie wymagania, którym postanowił jakoś sprostać.

Jedli i rozmawiali. Steven opierał się o swoją furgonetkę, Meredith o swój samochód, parę kroków dalej. Rozprawiali o pogodzie, o słabnących więzach-rodzinnych, o polityce i religii, o wszystkich tych sprawach, które eksperci od spraw damsko-męskich uważali za niewskazane na początku związku.

Ta myśl poraziła go. Jak nazwać to, co łączyło -go z Meredith? Czy to był związek?

Zanim wyczerpały im się tematy, niebo rozświetliło

się gwiazdami. Zbłąkana ćma wirowała wokół żarówki nad drzwiami domu. Gdzieś w oddali zaszczekał pies.

- Robi się późno, Steven.
- Nie jest aż tak późno, Meredith.
- Może dla ciebie nie, ale ja ostatnio wcześniej wstaję.

Wieczorem nastawiam telewizor, żeby sam się po pewnym czasie wyłączył, bo gdy tylko zacznę coś oglądać, natychmiast zasypiam.

- Ja niestety nie mam telewizora, pamiętasz? - Zbliżył się do niej.

- Steven.
- Hmm?

Przymknęła oczy. Westchnęła głęboko.

- Daj spokój.

Ale nie zamierzał posłuchać. Zamierzał ją, pocałować. Meredith pragnęła tego. Jednak w ostatniej chwili odwróciła głowę i zawołała:

- Wiem, czego ci trzeba. Zaraz wrócę.

Odwróciła się na pięcie i pobiegła do magazynku na zapleczu sklepu.

Wypatrzywszy to, czego szukała, wróciła przed dom.

- Co to jest? - zapytał Steven podejrzliwie, gdy wręczała mu karton.

- Zaufaj mi, to nie bomba. - Meredith wiedziała dokładnie, jakimi słowami go udobruchać. - To mały telewizor, głuptasie. Potraktuj to jak upominek. Teraz będziesz miał co robić wieczorami. A gdy następnym razem



zapytam o twój ulubiony program, już się nie wykrecisz.  
Dobranoc.

Stevenowi nie pozostało nic innego jak przyjąć prezent i wrócić do furgonetki.

Przekraczając próg domu, Meredith przypomniała sobie stare przysłowie: „Droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek”. Droga do serca Stevena była nieco bardziej pokrętna.

Zgasiła światła na dole i poszła na górę. Otworzyła okno, bo chciała usłyszeć, jak Steven odjeżdża. Zamiast tego dotarły do niej odgłosy rozmowy. Jeden z głosów należał do Stevena. Drugi był zmysłowy, niski i bardzo, bardzo kobiecy.

- Słowo daję, Steven. Naprawdę mnie przestraszyłeś.

Steven skończył ustawiać telewizor na siedzeniu, potem spojrzał na kobietę.

- Przepraszam, Pamela.

- Jesteś takim dżentelmenem, Steven. Nie sposób się na ciebie gniewać. - Mówiła tym zmysłowym szeptem, którym zwracała się do każdego napotkanego mężczyzny.

- A w ogóle, co tutaj robisz?

Wciąż jeszcze oszołomiony rozmową z Meredith, Steven powoli zamykał drzwi od strony pasażera.

- Nic wielkiego - powiedział cicho. Dostrzegł, że Pamela podchodzi bliżej. Trochę za blisko. - A co ty tutaj robisz? - spytał.

- Wybrałam się na samotny spacer.

- Gdzie jest Grover?

- U matki. Odwiedza ją co wieczór. Co wieczór, Steven. Nie wydaje ci się to odrobinę dziwne? - Zwilżyła usta i wypięła pierś.

Pamela była jedną z kobiet, które odpowiedziały na ogłoszenie zamieszczone w gazecie przez kawalerów z Jasper Gulch. Szybko znalazła sobie męża. Nie minęło też wiele czasu, gdy znudziło jej się życie rodzinne.

Faktycznie, Grover był największym ciamajdą, jakiego Steven kiedykolwiek poznał." ale przysięga małżeńska to rzecz święta.

- Czy odwiedzałyś codziennie swoją matkę, gdybyś miał w domu taką kobietę jak ja? Nie musisz odpowiadać, skarbie. Wiem, co ci chodzi po głowie.

Spokojnie, tylko spokojnie. Steven cofnął się o krok i wpadł na furgonetkę.

- Czy wiesz, że drzwi do pomieszczenia nad sklepem z odzieżą nie są zamknięte? - gruchała Pamela.

Steven przełknął ślinę. -

- Posłuchaj...

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nigdy się nie nudzisz, Steven? Nie marzysz o tym, by przeżyć coś ekscytującego? Umiem dochować tajemnicy. To mógłby być nasz mały sekret. Wiem, że jesteś wolnym duchem i w żadnym razie nie zamierzam tego zmieniać. Mógłbyś to potraktować jak prezent ode mnie, oczywiście bez żadnych zobowiązań.

Pamela była taka, jak większość kobiet Nieco po trzy-

dziesiątce, całkiem ładna, nawet z tą wielką, tlenioną blond czupryną i wymalowanymi ustami oraz wściekle czerwonymi szponami. Z całą pewnością miała też przyjemnie zaokrąglone kształty. Ale niezależnie od tego co mówiła o braku zobowiązań, mężczyzna, który przyjąłby jej hojną ofertę, wpakowałby się w niezłe tarapaty.

- Muszę jutro wcześniej wstać. Pędzimy z chłopakami stado na tereny nad Cukrowym Strumieniem.

- Naprawdę?

- Tak.

- Cóż. - Ponownie zwilżyła usta i wyprężyła ciało  
- Może innym razem.

Steven nie mógł wymyślić odpowiedzi, która nie byłaby niegrzeczna. Tak więc dotknął tylko runda kapelusza i wszedł do furgonetki. Na szczęście Pamela zrozumiała aluzję i znikła w bocznej uliczce, gotowa znaleźć innego, bardziej podatnego na jej urok mężczyznę.

Pukanie do drzwi rozległo się pięć minut przed dwiętnastą. Meredith poderwała się na równe nogi. Na progu stał Steven, w kapeluszu nasuniętym głęboko na oczy. Trzymał w rękach telewizor, który podarowała mu poprzedniego wieczora.

- Sprawdziłem wszystkie kanały. Nie było nic ciekawego.

Otworzyła szeroko drzwi, zapraszając go do środka. Bała się, że za chwilę rzuci się w jego ramiona.

- Kolacja już prawie gotowa. Mam nadzieję, że lubisz

włoska kuchnię. To nie są pracochłonne dania, a przy tym bardzo smaczne i pożywne.

Zdjął kapelusz i położył go na stoliku. Meredith uważała, że jest bardzo spięty. Bardziej niż zwykle.

- Przegoniłeś dziś stado na urodzajniejsze pastwiska?  
- spytała przyjaźnie.

Niewinnie pytanie zaskoczyło Stevena. Spojrzał nieco nieprzytomnie, zwłaszcza że z kuchni dolatywał niezwykle miły aromat.

- Skąd wiesz? Chyba ci o tym nie wspominałem?  
A może jednak?

Przestąpiła z nogi na nogę. przechyliła nieco głowę i posłała mu z ukosa spojrzenie, które niemal zwaliło go z nóg. Bez słowa wskazała na otwarte okno. Wszystko jasne.

- Słyszałaś, jaką propozycję złożyła mi Pamela?
  - Słyszałam też twoją odpowiedź.
- Steven od razu się rozchmurzył.
- Jesteś głodny? - zapytała.
  - Prawdę mówiąc - rzekł, robiąc krok w jej stronę
  - w tej chwili nie interesuje mnie jedzenie.
  - Ja czuję to samo, Steven. - Meredith cofnęła się o krok. - A teraz mam ochotę paść ci w ramiona. - Znów zrobiła krok do tyłu.
  - Kochanie, poruszasz się w niewłaściwym kierunku. Wyciągnęła przed siebie dłoń.
  - Nie. Staram się postępować właściwie. Im lepiej cię znam, tym bardziej cię lubię, a im bardziej cię lubię, tym

bardziej pragnę... tego, co i ty. Dlatego też apeluję do twojego zdrowego rozsądku.

- Mojego rozsądku?

Pokiwała głową.

- Rozpoczęliśmy nasz związek w niewłaściwy sposób. Nie wolno nam teraz popełnić tego samego błędu. To byłaby niewybaczalna głupota.

- Mów dalej, Meredith.

- Żadne z nas nie myślało trzeźwo tamtej nocy. Oboje czuliśmy się zranieni, osamotnieni i smutni. Stało się, i nikogo z nas nie można za to winić. Ale nie pozwólmy, by i tym razem sytuacja wymknęła się spod kontroli.

- Masz na myśli seks.

Meredith głośno przełknęła ślinę. Nawet tamta pierwsza noc znaczyła dla niej więcej, nie chodziło wyłącznie o seks. Zastanawiała się, w jaki sposób kobieta może zdobyć zaufanie mężczyzny takiego jak Steven. Miał dobre serce, lecz lecz bał się miłości.

Ostatniej nocy, gdy podsłuchiwała jego rozmowę z Pamela, zdała sobie sprawę, że nie chodzi jej tylko o to, by Steven zaczął jej ufać. Potrzebowała jego akceptacji, pragnęła, by dodawał jej otuchy. Bez tego nigdy nie stworzą trwałego związku.

Rozległo się brzęczenie minutnika. Meredith włożyła rękawice i wyciągnęła z piekarnika chrupiące bułeczki, lasagne i zapiekana fasolkę. Cały czas miała wrażenie, że znów jest małą dziewczynką, która bawi się w dom. I wtedy przypomniała sobie o ich dziecku. Dla dobra te-

go małżeństwa gotowa była prawie na wszystko. Ale nie na to, by zmienić swe życie w żalosną farsę.

Zamknęła piekarnik i spojrzała na Stevena.

- Rozmyślałam wiele o naszym związku.

- I co?

- Rozumiem, dlaczego nie wierzysz kobietom. Może któregoś dnia mi zaufasz. Dopóki tak się nie stanie, nie powinniśmy nikogo wtajemniczać w nasze sprawy. Dopóki nie uwierzysz, że to dziecko jest twoje, lepiej, żeby nikt o niczym nie wiedział.

- Chcesz mi powiedzieć, że albo ci uwierzę, albo mam zachować naszą znajomość w tajemnicy?

- W twoich ustach brzmi to jak ultimatum.

- A jak ty byś to nazwała?

- Nic chcę jedynie zapewnień o wzajemnym zaufaniu, bo to za mało.

Nie spieszył się z odpowiedzią, choć teraz pewnie powinien oświadczyć, że bezgranicznie jej ufa. O nie, pozostał niewzruszony. Po prostu był szczery. Ona także była szczerą. Połączyło ich wzajemne pożądanie. To ono popchnęło ich ku sobie. A teraz miało przyjść na świat ich dziecko. Ona pragnęła związku, trwałego związku z ojcem dziecka. To wymagało czegoś więcej niż tylko wzajemnej fascynacji. Wymagało zaufania. I szacunku. I miłości. W przeciwnym wypadku ich związek skazany był na niepowodzenie. W jaki sposób mogła sprawić, by Steven to pojął?

- Czasami ludzie robią coś dobrego z niewłaściwych

pobudek. Steven. Czasami postępują niewłaściwie, minio iż kierują nimi dobre intencje. Ja próbuję postąpić słusznie z właściwego powodu.

- To znaczy dla dobra dziecka.

Dla dobra dziecka, pomyślała, ale też dla Stevena i dla siebie samej.

- Chcesz udawać, że nie czujemy do siebie silnego pociągu? - zapytał.

- Nie. Ja tylko uważam, że na razie powinniśmy zachować naszą znajomość w tajemnicy.

Nie odpowiadał przez dłuższy czas. Gdy wreszcie się na to zdobył, jego głos przesiąknięty był znużeniem:

- Będzie, jak chcesz.

Wypuściła wstrzymywane przez dłuższą chwilę powietrze.

- A jak będziemy spędzać czas? - zapytał.

Meredith miała ochotę odpowiedzieć, że będą dużo rozmawiać, poznawać się nawzajem. Być może pewnego dnia Steven zrozumie; jak ważne jest zaufanie. Uwierzy w szczerą jej intencję. W to, że go pokochała.

- Póki co - odrzekła, spoglądając na stół — zjedźmy kolację, zanim wszystko zupełnie wystygnie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Norbert i Ned byli dzisiaj w sklepie.
- Co mówili?
- Neil próbuje znaleźć kogoś, kto poprowadzi skład.

Ned i Norbert szukają osoby, której mogliby wydzierzać ranczo. Nawiazali już kontakt z firmą w Nashville, która zajmie się kreowaniem ich wizerunku. Oczywiście nie za darmo. I zastanawiają się, jak nazwać zespół. Chyba wybiorą nazwę Dakota.

Meredith kończyła przyrządzać kolację. Steven ją obserwował. Poruszała się po kuchni lekko, zgrabnie, z niesłychaną gracją. Steven uświadomił sobie, że wrotce to się zmieni.

To już czwarta niedziela z rzędu, którą spędzał u Meredith. Cieszył się na te wizyty bardziej, niż chciałby przyznać. Gdy przyjechał tydzień temu, przywitał go dźwięk alarmu przeciwpożarowego i dym wydobywający się z okna. Wbiegł do środka. Na szczęście nic się nie stało, tylko kolacja przybrała postać zwęglonych szczątków. Zjedli więc kanapki z masłem orzechowym i galaretką. Steven nigdy nie przepadał za takimi specjałami.



Zatem z pewnością nie odwiedzał Meredith z powodu wykwinnych kolacji.

- Ktoś - zaczęła Meredith, wycierając dłonie w ręcznik - w tym miasteczku - odrzuciła ręcznik i podniosła salaterkę pełną świeżych warzyw - jest bardzo dobry - podała mu salaterkę i w końcu napotkała jego wzrok - w wymyślaniu nazw. Gratulacje. Znów ci się udało.

Nie miał pojęcia, skąd Meredith wie, że to on wymyślił nazwę zespołu braci Andersonów. Gdy uśmiechała się do niego tak słodko, zupełnie tracił głowę. Miał ochotę wstać od stołu, zostawić kolację i zaciągnąć Meredith do łóżka. Samo pragnienie nie było niczym nowym. Ale pojawiały się także nowe uczucia. Stawały się coraz głębsze, a on miał świadomość, że doznaje ich po raz pierwszy w życiu.

- Może zadedykują ci swój pierwszy album. Jestem pewna, że odniosą sukces.

Steven pomyślał, że prawdopodobnie zadedykują go Meredith. Stała się ważna dla wielu ludzi

Usiedli i zaczęli jeść. Rozmawiali o błahostkach, często wybuchając śmiechem. Kiedy skończyli posiłek, Steven pomógł Meredith pozmywać naczynia.

Telefon w salonie zadzwonił, gdy właśnie wypuszczała wodę ze ziewu.'

Wycierając naczynia. Steven niechcący usłyszał końcówkę rozmowy. Z tego co zdołał usłyszeć, wywnioskował, że rozmawiała z mężczyzną. Ten ktoś chciał się z nią spotkać, ale odmówiła.

Meredith odłożyła słuchawkę i wróciła do kuchni, jakby nie zaszło nic nadzwyczajnego.

- Czy to się często zdarza? - zapytał.

- Chodzi ci o to, czy często otrzymuję zaproszenia na randki?

Pokiwał głową. Czasami miał nieodparte wrażenie, że Meredith potrafi czytać w jego myślach. Zastanawiało go, jak ona to robi.

- Och, dostaję jedno czy dwa zaproszenia w tygodniu. Mężczyźni z Jasper Gulch są po prostu nadzwyczaj towarzyscy.

- Gdybyś powiedziała im, że to moje dziecko, przestaliby zapraszać cię na randki.

- Wierzysz już, że to twoje dziecko, Steven?

Popatrzył jej prosto w oczy przez kilka sekund, ale nie odpowiedział.

Zmieniła temat.

Tak jak zwykle, gdy posprząтали kuchnię, Meredith rozlała do szklanek lemoniadę, po czym przenieśli się do małego salonu. Włączyła telewizor i usadowiła się w jednym końcu sofy, Steven zaś na krześle obok. Zaczęli oglądać jej ulubiony serial. Ponieważ był to jedyny program telewizyjny, jaki Steven kiedykolwiek widział, też go polubił.

- Dobry wieczór, paniom. Co podać? - zapytał Boomer Brown tubalnym głosem.

Crystal Galloway i Meredith usadowiły się przy barze.

- Najlepsze francuskie bordeaux - odparta Crystal po francusku.

Znała biegle kilka języków i nigdy nie było wiadomo, jakim posłuży się podczas kolejnej wizyty w „Szalonym Koniu”. Elekt był jednak zawsze ten sam. Albo Boomer, albo jego żona DoraLee sięgali do lodówki po karton zimnego soku winogronowego. Potem z poważną miną nalewali płyn do wysokich szklanek, zakupionych kiedyś za bezcen na wyprzedazy.

Boomer uśmiechnął się.

- Zachowujcie się grzecznie - powiedział, podsuwając Meredith szklanke pełną mleka.

- Spróbujemy za bardzo nie napsocić - odparła z uśmiechem Meredith.

Upiła łyk mleka i rozejrzała się po sali.

W „Szalonym Koniu” panował tłok. Wszyscy stali bywalcy przyszli dziś pożegnać się z braćmi Andersonami. Przy okazji urządzono zawody w ujeżdżaniu mechanicznego byka.

- Jak leci, Meredith? - zapytał jeden z miejscowych chłopaków, gdy przechodziła obok.

- Ładnie dziś wyglądasz, Meredith - zawołał inny.

- Ty też wyglądasz nieźle, Butch.

- - To dlaczego za mnie nie wyjdiesz? - zabełkotał Butch.

Forrest odciągnął swojego pijanego przyjaciela.

- Jesteś bez szans, kolego. Zachowuj się przyzwoicie, bo cię stąd wyprowadzę.

Kobieta przy sąsiednim stoliku spytała:

- Wybrałaś już jakieś imię dla dziecka, Meredith?

Uśmiechając się do żony szeryfa, Meredith odparła:

- Mam kilka pomysłów. Jeżeli urodzi się dziewczynka, na pewno nie nazwę jej Grace ani Lauralee.

Crystal cudem znalazła wolne krzesło, a na dodatek tuż obok Stevcna. Meredith dołączyła do nich. Crystal wdała się w pogawędkę z Nedom Andersonem. Meredith napotkała wzrok Stevena. Uśmiechnął się do niej, a ona odwzajemniła uśmiech. Wyczytała pragnienie w jego oczach. Zanim ktokolwiek zdołał to dostrzec, oboje przybrali obojętny wyraz twarzy.

Ogólnie rzecz biorąc, wszystko układało się pomyślnie. Tygodnie mijały jeden za drugim, zbytnio się od siebie nie różniąc. Meredith odbierała Logana i Oliwię ze szkoły w każdy wtorek. W soboty na ogół chodziły z Crystal do kina. Interesy szły nie najgorzej. Kończyła właśnie odnawiać sofę Cletusa McCully'ego. Dwie ekscentryczne panie, które, jak głosiła plotka, parę lat przed przeprowadzką do Jasper wygrały mnóstwo pieniędzy na loterii, kupiły kilka jej najlepszych antyków.

Meredith jadała od czasu do czasu lunch w towarzystwie miłych i pełnych dobrych chęci mężczyzn z Jasper Gulch. W każdą niedzielę natomiast podejmowała kolację Stevena.

Był intrygującym mężczyzną.

W większym towarzystwie zachowywał się nienaganie. Co innego, gdy byli sam na sam. Zawsze mówił

„proszę” i „dziękuję” i pomagał przy zmywaniu. Ale też bardzo często całował ją namiętnie na pożegnanie.

Rzadko rozmawiali o dziecku. Czasem przyłapywała go na tym, jak przygląda się jej brzuchowi. Wiedziała, o czym wtedy rozmyślał. Nie był gotów przyjąć bez zastrzeżeń oczywistego faktu, że Meredith nosiła jego dziecko. Czasami martwiła się, że już nigdy jej nie uwierzy. Wciąż jednak nie było za późno. Była dopiero w szóstym miesiącu ciąży.

- Oliwio, co robisz?
- Lepiej bałwankowi duży brzuszek, taki jak ma ciocia Meredith. To jest bałwanek w ciąży.
- Bałwanek nie może być w ciąży.
- A właśnie że ten jest.
- Nie-e.
- Ta-ak.

Steve stał na podjeździe domu Strykerów.

Kiedy przyjechała Meredith, oglądał z Clive'em Hendriksem nowego byka Wesa.

Teraz Meredith lepiła z dziećmi przed domem bałwana, Wes i Jayne już pojechali, a Clive zaraz za nimi. To już drugi raz tego dnia Steve widział się z Meredith.

Wcześniej przyszedł do jej sklepu kilka minut przed zamknięciem. Klęczała, próbując naprawić krzesło.

Podniosła wzrok na Stevena, wcale nie zdziwiona jego wizytą, a potem uśmiechnęła się.

Kochała go.

Ta myśl przyprawiła go o zawrót głowy. Jeśli go kochała, to powinna za niego wyjść, do diabła. Dlaczego tak długo zwlekała z odpowiedzią?

A może właśnie w tym tkwił problem? Może nie chciała go poślubić właśnie dlatego, że go pokochała? To trochę niedorzeczne, bez dwóch zdań. Jednak po głębszym namyśle, miało sens. Jeżeli go kochała, a tego był prawie pewien, to nie chciała go ranić, a tym bardziej obarczyć odpowiedzialnością za cudze dziecko. Zamknął za sobą drzwi i powiedział bez żadnych wstępów:

- Bez względu na to, czy jestem ojcem twego dziecka, czy nic, powinienem towarzyszyć ci w przygotowaniu do porodu.

Uśmiech znikł z jej twarzy.

Steve poczuł się bardzo nieswojo.

Zanim wstała z podłogi, postarała się ukryć, jak bardzo ją uraził.

Patrząc na nią teraz, Steve poczuł się jeszcze gorzej.

Pomagała Loganowi i Oliwii lepić bałwana. Cała trójka śmiała się wesoło. Wszystko było w niej piękne. Włosy, głos i śmiech.

Trafiła go zimna, mokra śnieżka. Gdyby uważał, dostrzegłby, że Logan w niego celuje. Oberwał następną, tym razem ulepioną przez Oliwię. Kiedy Meredith schyliła się po grudkę śniegu, on schylił się także.

Potyczce, która się wywiązała, przyglądał się jednooki bałwanek i kilka koni.

Meredith cieszyła się chwilą. Steve nie był może go-

tów obdarzyć jej całkowitym zaufaniem, ale była przekonana, że zaczynał się w niej podkochiwać.

Miara jeszcze dwa miesiące, żeby próbować zdobyć jego zaufanie.

A jeśli nie zaufa jej nigdy? Robiła, co w jej mocy, by ignorować te wątpliwości.- Nie będzie się teraz, tym zamartwiać. Poza tym nigdy nie należy tracić wiary. Termin porodu wyznaczano na drugiego lutego, dokładnie dziewięć miesięcy od nocy spędzonej ze Stevenem. Jeśli umiał liczyć, to musiał zrozumieć, że to dziecko jest jego. Tak, będzie dobrze. W końcu wszystko jakoś się ułoży.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- I jak? - spytała Meredith.

Steven westchnął.

- Dobrze.

Mrok w pokoju rozprasały jedynie lampki choinkowe i ekran włączonego telewizora. Ktoś liczył minuty do opuszczenia ogromnej kuli na Times Square. Wszyscy czekali na nadejście nowego roku.

- Och, Meredith - jęknął cicho, gdy masowała mu plecy - zabijasz mnie swoją dobrocią.

- Mam przestać?

Potrząsnął przecząco głową. Nie chciał, by kiedykolwiek przestała.

Przyjechał późno, zostawił ośnieżone buty na schodach. Kapelusz wisiał na wieszaku, a koszula na krześle w kuchni.

Siedział naprzeciwko Meredith, boso i bez koszuli.

Jęknął głośniej, gdy masowała mu ramię. Naprawdę, zabijała go swoją dobrocią.

- Rozluźnij się. - Delikatnymi, wprawnymi palcami masowała mu stopy. - Przejazdźka na Bonerze tym razem nie pomogła? - spytała.



Prawda była taka, że ostatnio przejażdżki w ogóle nie pomagały. Steven mógł myśleć tylko o jednym. A właściwie o jednej.

- Wystarczy - szepnęła. - Rozluźnij się. - Coś musnęło go po plecach. Otworzył oczy i nagie poczuł narastającą falę pożądania. Pocałowała go, czy tylko mu się wydawało?

- O czym myślisz? - spytała szeptem.

- Myślę, że powinnaś się pospieszyć i w końcu wyjść za mnie. Wtedy będę mógł robić z tobą rzeczy, o których w tej chwili marzę. - Poruszyła się za jego plecami. Odwrócił się, żeby spojrzeć jej w twarz, - Tak zmysłowy uśmiech nie powinien pojawiać się na twarzy kobiety, która za miesiąc zostanie matką.

- Za miesiąc i dwa dni. - Meredith znów uśmiechnęła się, widząc jego wzruszenie.

Musiała przyznać, że przeżyła cudowne święta. Logan i Oliwia wzruszyli ją swoimi prezentami, a jeszcze bardziej poruszył ją fakt, że była otoczona ludźmi, którzy ją kochali. No i uwielbiała spędzać czas ze Stevenem. Niedawno znów poprosił ją o rękę.

- Czy teraz nie jest odpowiedni moment? - spytał.

- Niezupełnie. - Ale miała nadzieję że to tylko kwestia czasu. Już wkrótce zdobędzie zaufanie Stevensa.

Miała też nadzieję, że po sprzedaży domu w Box Elder Steve zapomni o przeszłości i wszystkich rozczarowaniach, jakich kiedykolwiek doznał.

Twierdził, że Meredith zabija go swoją dobrocią, ale i on nie skąpił jej czułości. Pilnował, by odpoczywała po każdym posiłku. Założył sobie telefon. Stwierdził, że nadszedł czas, by zacząć korzystać ze zdobyczy cywilizacji. Wiedziała jednak, że zrobił to wyłącznie dla niej. Chciał mieć z nią kontakt i być do dyspozycji, gdyby czegoś potrzebowała.

Wzięła jego spracowaną dłoń w rękę i położyła na swoim wydatnym już brzuchu. Dziecko kopnęło.

- Maleństwo ma niezłe uderzenie - uśmiechnął się promiennie Steven.

- Mam nadzieję, że dziecko odziedziczy po tobie energię.

Meredith dostała zaproszenie na sylwestrowe przyjęcie do Coltersów. Cieszyła się, że udało jej się jakoś wykręcić. Warto było zostać, by zobaczyć wzruszenie Stevena. Gdy dziecko kopało, zmieniał się wyraz jego twarzy. Poczwała, że jej oczy powoli wypełniają się łzami. Była taka szczęśliwa...

Chciał uwierzyć, że dziecko jest jego. Bardzo pragnęła mu pomóc, ale z tym problemem musiał poradzić sobie sam.

Zadzwoił telefon w salonie. Żadne z nich się nie poruszyło. Żadne nie chciało przerywać tej cudownej chwili.

Po sześciu dzwonekch włączyła się sekretarka.

- Meredith, tu DoraLee z „Szalonego Konia”. Jeśli jesteś w domu, odbierz.

Meredith szybko wstała i pobiegła do pokoju. Steven tuż za nią. Złapała słuchawkę.

- Jestem. Co się stało?
- Jest tu jakiś facet.
- Facet? - spytała z niepokojem. - Jaki facet?
- Twierdzi, że jest ojcem Stevena. Sądząc po jego wzroście i zielonych oczach, raczej nie kłamie.
- Czego chce?
- O kogo chodzi? - Stevenowi udzieliło się zdenerwowanie Meredith.
- Chce się widzieć ze Stevenem - odpowiedziała DoraLee - Powtórzysz mu?

Meredith ze zdenerwowania nawet nie spytała, skąd przyjaciółka wie, gdzie szukać Stevena.

- Tak.
- Co mi powtórzysz? - spytał Steve, kiedy odłożyła słuchawkę.

Poczuła dziwny strach. Z trudem przełknęła ślinę i spojrzała na Stevena.

- Ktoś czeka na ciebie w „Szalonym Koniu”.
- Kto?
- Twój ojciec.
- Nie...

Zamknęła drzwi, nasłuchując oddalających się pośpiesznie kroków. Steven złapał koszulę, szybko zapiął guziki, wcisnął na głowę kapelusz i wybiegł bez pożegnania z domu.

Meredith była zdenerwowana. Bardzo. Steven ją kochał. Kochał ich dziecko. Odrzucił przeszłość tamtej nocy, gdy się kochali. Dzisiaj zrobił to ponownie. I nagle ten telefon... Dlaczego los uwielbia płatać nam takie okrutne żarty?

Jego ojciec nie był wart poszukiwań, nigdy nie interesował się synem, nigdy nie dał mu choćby odrobiny miłości. Steven nie miał pojęcia, czym jest miłość rodzicielska, bo nigdy jej nie zaznał.

To przez niego Steven nie ufał ludziom i unikał jak ognia emocjonalnego zaangażowania.

Próbując znaleźć jakiś jaśniejszy punkt całej sytuacji, Meredith przypomniała sobie, że miała jeszcze asa w rękawie. Dziecko, które być może sprawi, że Steven definitywnie zatrze drzwi za swą przeszłością i wreszcie uwierzy, że życie to nie tylko pasmo cierpień.

Rozmasowała sobie bolące ramiona, zastanawiając się, kiedy wróci Steven.

Ból się wzmacniał. Poczowała, że nad nim nie panuje. Wyprostowała się ostrożnie.

Po trzydziestu sekundach ból ustał. Zapomniałaby o nim, gdyby nie pojawił się znowu, dokładnie minutę później. Spojrzała na zegarek, potem na ulicę, w końcu na brzuch. Czyżby nadszedł już jej czas? Niemożliwe. To jeszcze miesiąc. Trzydzieści dwa dni. Może to tylko fałszywy alarm. Błagam, niech to będzie fałszywy alarm. Błagam, błagam, błagam.

Za trzecim razem ból stał się nie do zniesienia i trwał dłużej. Kilka sekund później wybiła północ.

Gdy Steven wszedł do „Szalonego Konia”, zapadła cisza. Skinął na powitanie Boomerowi, który mył szklanki za barem.

- Szczęśliwego Nowego Roku! - rzucił Boomer.
- Dzięki, nawzajem.
- Może piwko?

Nie zamierzał zostać tu tak długo.

W „Szalonym Koniu” nie czuło się odświętnej atmosfery. Cletus McCully siedział przy stoliku, otoczony kilkoma podstarzałymi panienkami. Bracia Wickisowie jak zwykle tkwili przy barze.

Niestety, nie było na tyle głośno, by zagłuszyć głos mężczyzny, którego Steven nie widział od blisko dwudziestu lat.

Rozpoznał go od razu. Trzymając nerwy na wodzy, spojrzał Hankowi Nicholsowi prosto w twarz. Faktycznie, mieli identyczne oczy.

Przełknął ślinę.

- Co tu robisz?
- Czy ojciec nie ma prawa odwiedzić syna?

Pewnie, że tak. Szkoda tylko, że nigdy wcześniej tego nie zrobił.

- Tutejsi chłopcy opowiedzieli mi, co planujesz. - Hank odsunął nogą krzesło.

Steven nie ruszył się.

- Nie mam czasu.

- Tak, słyszałem, że związałeś się z jakąś kobietą.

Steven spojrział na pozostałych gości. Wzruszyli ramionami.

Jeszcze kilka minut temu nie przypuszczał, że ludzie z Jasper Gulch wiedzą o nim i o Meredith. DoraLee nie miała wątpliwości, gdzie go szukać. Zastanawiał się, dlaczego nigdy nie słyszał żadnych plotek na ten temat.

- Co tu robisz, Hank? - powtórzył pytanie.

Hank Nichols był kilka centymetrów wyższy od niego. Czarne włosy kontrastowały z siwizną na skroniach. Twarz pokrywały zmarszczki. Tak pewnie będzie wyglądał Steven za dwadzieścia lub trzydzieści lat. Ale jego oczom nigdy nie brakowało ciepła i nigdy nie uśmiechał się tak smutno.

- Czego chcesz, Hank?

- Przyjechałem złożyć ci kondolencje.

- Jak to?

- Słyszałem, że Grace zmarła.

Steven zaczął pojmować.

- Doprawdy?

- Spotkałem kobietę, która znała kogoś z Box Elder.

Świat jest taki mały.

- Grace zmarła osiem miesięcy temu.

- Tak powiedział jej sąsiad. - Hank spojrział uważnie na syna. - Chciałem oddać hołd jej pamięci. Przynajmniej tyle.

Steven powstrzymał się od złośliwego komentarza.

- To miło z twojej strony - powiedział spokojnie.
- Dom wyglądał nieźle. Całkiem nieźle. Sąsiedzi powiedzieli, że zostawiła go tobie.

Steven wzruszył ramionami i czekał.

- Musi być sporo wart.

Nawet pijany głupek mógłby się domyśleć, co teraz nastąpi. Clive i Keith poruszyli się niespokojnie na skrzypiących krzesłach. Hank tego nie zauważył. Był zbyt zajęty wygłaszaniem swojego popisowego monologu.

- Trochę krucho u mnie z kasą - powiedział, sięgając po kufel.

- Wyobrażam sobie.

- To naprawdę nie moja wina. Kobieta, z którą do tej pory mieszkałem, wyrzuciła mnie na zbity pysk. Wiesz, jakie są kobiety. Zastanawiałem się, co, robić. Nie widziałem cię przecież od lat. A potem znajoma powiedziała, że Grace kopnęła w kalendarz. Chyba mogę liczyć na jakąś niewielką kwotę?

Starając się zachować kamienny wyraz twarzy, Steven sięgnął do kieszeni. Hank uważnie śledził ruch jego ręki. Steven wyciągnął kilka banknotów, wciąż jednak szukał. Wyjął w końcu ćwierćdolarówkę i położył przed Hankiem na stole.

- Zadzwoń do kogoś, kogo to obchodzi. A teraz, jeśli pozwolisz, pożegnam cię.

Po sali rozniósł się stłumiony chichot. Hank rozejrzał się dookoła. Zdając sobie sprawę, że nie ma tu czego szukać, podniósł się z krzesła.

- Przeszłość daje o sobie znać. Jesteś podobny do swojej starej i do Grace Miller.

- Mylisz się - odpowiedział spokojnie Steven. - Dzięki Bogu, nie jestem podobny do żadnego z was.

Hank burknął coś i wyszedł.

Boomer uśmiechnął się znad baru. Forest Wilkie wzniosł toast, a Cletus McCully podszedł chwiejnym krokiem, postawił na stole butelkę whisky i usiadł.

- Może się napijesz? - spytał.

- Nie, dzięki. Ale nie krępuj się.

Cletus nalał sobie szklaneczkę. Steven, czując się trochę nieswojo, usiadł naprzeciwko starego.

- Nie miałem pojęcia, że wiecie o mnie i Meredith.

- W takich dziurach jak ta, niewiele trzeba, żeby wszystko się rozniosło.

- Co mówią ludzie?

Cletus wrzucił ramionami.

- Zastanawiają się, dlaczego jeszcze nie kupiłeś pierścienia zaręczynowego.

- Wierz mi, próbowałem.

- Więc ją kochasz?

Steven przytaknął.

- Oczywiście, że ją kocham.

Cletus nalał sobie jeszcze jednego, ale tyra razem nie wypił.

- Nawet nie trzeba jej pytać, by wiedzieć, co do ciebie czuje. Widziałem, jak na ciebie patrzy. Czemu nie chce za ciebie wyjść?



Steven oparł łokcie na stole. Mówił cicho, żeby usłyszał go tylko Cletus.

- Powiedziała, że nie wyjdzie za mnie, dopóki nie uwierzę, że to moje dziecko.

- A jest?

- Byłoby miło, ale to już nieważne. Wystarczy, że ją kocham, a ona kocha mnie. Miłość do dziecka przyjdzie sama.

- Może chodzi o coś więcej.

Steven otworzył usta, żeby zaprotestować. Ale nic mu nie przychodziło do głowy. Rozejrzał się uważnie po sali. Niewątpliwie rano będzie bohaterem wszystkich lokalnych plotek.

- Cletus? - spytał, gdy przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl. - Jeśli wszyscy wiedzą o mnie i o Meredith, dlaczego nikt nigdy nie powiedział złego słowa na temat jej reputacji?

Cletus miał zawsze nieprzenikniony wyraz twarzy. Ale miał też wielkie serce. Po tragicznej śmierci syna i synowej dwadzieścia pięć lat temu bez wahania zajął się wychowywaniem wnuków. Oszukiwał w grze w karty, ale nie w życiu.

- Potrzebujesz iskry, by zapłonąć, chłopcze - powiedział, patrząc Stevenowi w oczy. - Czy słyszałeś, żeby Meredith kiedykolwiek powiedziała coś niemiłego? Czy obiecała coś, a później nie dotrzymała obietnicy? Zobacz, jak układają się jej stosunki z Oliwią i Loganem. Mogła zabrać ich od Wesa i Jayne. Nie chciała jednak zakłócać

ich życia. Pragnęła być bliżej dzieci, by uczestniczyć w ich wychowaniu. Przecież właśnie dlatego zamieszkała w naszym miasteczku. Wiesz, że odnowiła moją starą kanapę? Nie wzięła grosza więcej ponad to, co wcześniej uzgodnieliśmy, choć z łatwością mogła mnie oszukać. Niektórzy ludzie są tak dobrzy, jak słowa, które wypowiadają.

Dzwoneczki zawieszono przy drzwiach zasygnalizowały wejście Jasona Tuckera.

- Brrrr - wyraził swoje niezadowolenie, otrzepując się ze śniegu. - Trochę dziwny czas na paradę.

- Co masz na myśli? - spytał Boomer.

- Widziałem dziwną kawalkadę jakieś dziesięć minut temu. - Wszyscy popatrzyli w jego stronę.

- Jaką znowu kawalkadę?

- Sześć samochodów. Szeryf Colter z przodu, z włączoną syreną. Na początku myślałem, że wiezie jakiegoś kryminalistę. Ale tym razem to nie był przestępca. - Jason spojrział na Stevena. - Jak sądzisz, dlaczego Meredith wybrała się w środku nocy do Pierre?

- Widziałeś tam Meredith? - Steven poderwał się na równe nogi.

Jason skinął głową i dodał:

- Razem z Crystal Galloway i doktorem Kincaidem. Poza tym Luke i Clayt Carsonowie. I Wes Stryker. Hej, dokąd lecisz?

- Chyba ma zamiar pojechać do szpitala w Pierre - spokojnie odpowiedział Cletus.

Szpital znajdował się trzydzieści kilometrów na zachód od Jasper Gulch. Zaśnieżone drogi kryły liczne niebezpieczeństwa.

Steven jechał tak szybko, jak to tylko było możliwe. Trzymał mocno kierownicę i nie odrywał wzroku od przedniej szyby. Widoczność była kiepska, ale on musiał zdążyć na czas.

Zaparkował obok kilku samochodów z Jasper Gulch i podenerwowany wbiegł do środka. Kilkanaście znajomych twarzy spojrzało na niego w chwili, gdy przekroczył próg poczekalni.

- Czy ona...?

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Melody Carson rozwiązała problem, kładąc palec na ustach.

- Crystal jest z nią - odpowiedziała spokojnie.

- I Burke - dodała żona doktora Kincaida.

Steven pobiegł do pokoju pielęgniarek. Czekał kilka sekund, aż obecna tam siostra skończy rozmawiać przez telefon. Kiedy domyślił się, że plotkuje z przyjaciółką, nacisnął na widełki i przerwał połączenie.

- Przywieziono tu przed chwilą kobietę. Zdaje się, że będzie rodzic.

- Proszę na chwilę usiąść - odpowiedziała, wyraźnie zirytowana.

- Nie chcę siadać! Muszę wiedzieć, jak się czuje.

Nagle dostrzegł na ścianie strzałkę na oddział położniczy.

- Nieważne.

- Proszę pana, tani nie wolno wchodzić!

Ale on już nie słyszał. Drogę zagroziła mu pielęgniarka w średnim wieku, która spokojnie mogłaby odparować ataki wrogiej drużyny na boisku rugby.

- Meredith Warner - zaczął. - Jak się czuje?

- W porządku. Właśnie przewożą ją na porodówkę.

- Gdzie to jest?

Usłyszał krzyk, który zmroził mu krew w żyłach. Meredith. Spojrzał w tamtą stronę.

- Proszę pana - pielęgniarka grzecznie próbowała mu coś wytłumaczyć. - Tam pan nie może wejść.

- Nie? - Starał się uspokoić myśli. Jego mina mówiła, że lepiej zejść mu z drogi.

- Musi pan włożyć fartuch!

Znowu głośny jęk Meredith. Porwał biały fartuch z wieszaka i z całej siły pchnął drzwi.

- Kim pan jest?! - krzyknęła, za nim kolejna pielęgniarka.

- Ojcem!

Steven nie bardzo zdawał sobie sprawę ze specyficznego zapachu unoszącego się w powietrzu i jasnych, oślepiających świateł. Zatrzymał wzrok na Meredith. Wyglądała na przerażoną. Była blada i cierpiąca, ale szczęśliwa, że go widzi.

- Steve?

Głos jej drżał. Stanął obok i łagodnym ruchem odgarnął jej włosy ze spoczonego czoła.

- Tak, kochanie? - wyszeptał.

Meredith otworzyła usta i westchnęła, delikatnie się uśmiechając.

- Teraz za ciebie wyjdę.

Stevenowi zaschło w gardle. Poczuł, jak oczy zachodzą mu łzami.

- Steven? - odezwał się nagle Burke Kincaid. - Mógłbyś poczekać, aż Meredith urodzi?

Zapadła cisza. Ale nie na długo.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Stev stanął w drzwiach pokoju numer 212. Meredith odpoczywała. Miała zamknięte oczy, ale wiedział, że nie śpi. Chyba że potrafiła uśmiechać się przez sen. Nie zdziwiłby się.

Otworzyła oczy. Steve trzymał pod pachą ogromnego pluszowego misia, w drugiej zaś ręce kilkadziesiąt czerwonych róż.

Podchodząc bliżej, miał wrażenie, że serce wyskoczy mu zaraz z piersi i poszybuje pod sufit razem z balonami, które przynieśli inni odwiedzający.

- Jak się czujesz?

- Świetnie. - Spojrzała z czułością na dziecko. - Mamy tyle do omówienia - wyszeptwała.

Pospiesznie zdjął z głowy kapelusz i położył go razem z różami na parapecie. Pluszowy miś wylądował na brzegu łóżka.

Steven nie mógł oderwać oczu od dziecka. Było takie małe i piękne.

- Chcesz, żebyśmy porozmawiali teraz o ślubie? - spytał cicho.

- O tym i o imieniu dla syna Stevena Buchanana.
- Nie mógł uwierzyć w to, co słyszał.

- Ja... - Głos uwiązał mu w gardle. Zaczął jeszcze raz. - Myślałem już o imieniu.

- I?

Wciąż nie mógł wydobyć z siebie głosu. Wydawało mu się, że takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach. Meredith wyglądała tak pięknie.

- Jak ci się podoba imię Luke? - spytał.

Dziecko się poruszyło, wydając jakieś bulgotliwe dźwięki. Meredith i Steven uśmiechnęli się znacząco.

- Luke - powiedziała powoli, z namysłem, upajając się brzmieniem imienia. - Luke powtórzyła, tym razem o wiele głośniej. - Luke Buchanan... Myślę, Luke, że tatuś chciałby cię wziąć na ręce.

Steven wstrzymał oddech, jakby zastanawiał się, czy podoła wyzwaniu. Spojrzał na Meredith i dziecko. Jej źrenice rozszerzyły się. "Wyglądała tak pięknie, jak nigdy przedtem.

Delikatnym ruchem podała mu malucha. Mały Luke zaczął płakać. W końcu dopiero co opuścił bezpieczne łono mamy. Ucichł, gdy tylko znalazł się w ramionach Stevena.

- Wie, że jestem jego ojcem. - Meredith przytaknęła.
- Z tego, co słyszałem, wszyscy wiedzą.

Spojrzeli na siebie wymownie i uśmiechnęli się.

- Skąd się dowiedzieli? - spytała.

- Josie stwierdziła, że im dłużej mieszkałaś w na-

szych stronach, tym rzadziej urządziałem sobie szalone nocne przejażdżki. W końcu przestałem jeździć przed siebie, a zacząłem odwiedzać ciebie.

Meredith poczuła ukłucie w sercu. Łzy powoli spływały jej po twarzy.

- Byłem idiotą, nie wierząc ci tak długo, Meredith. Już nigdy w ciebie nie zwątpię. Kiedy zamierzasz mnie poślubić?

Jego głos brzmiał stanowczo i delikatnie. Moc, z jaką wypowiedział ostatnie słowa, wywołała kolejne łzy. Meredith jeszcze nigdy nie doświadczyła podobnych emocji, nigdy nie czuła się w ten sposób i nigdy nie była tak kochana. Nigdy nie była też tak szczęśliwa i zmęczona.

- Wkrótce.

Steven miał mnóstwo planów. Nie posiadał wprawdzie dobrych wzorców z dzieciństwa, ale wiedział, że z pewnością nauczy się być dobrym ojcem. Razem z Meredith mieli tak wiele rzeczy do omówienia. Plany weselne, na przykład.

Myślał od dłuższego czasu o otwarciu w mieście sklepu z żywnością. Chciał też kupić nowy dom. Wiedział, kto go urządzi. Nieważne, gdzie będą mieszkać, byle tylko byli zawsze razem.

Dziecko zakwiliło. Meredith mruknęła coś cicho przez sen. Steven wyjrzał przez okno. Słońce wstało nad horyzontem. To był pierwszy dzień nowego roku, początek całkiem nowego życia.



Trzymając na rękach syna i siedząc naprzeciwko ukochanej kobiety, wpatrywał się w niebo.

Kochał Meredith i dziecko. Nawet nie umiał wyrazić, jak mocno. To był niezwykle poranek. A wszystko dlatego, że pewnej nocy spotkał kobietę. Nie jakąś tam kobietę, ale matkę dziecka, które wtedy poczęli.

Trzymał je teraz na rękach. Wszystko, czego pragnął, znajdowało się w tym pokoju... Przymknął oczy, próbując ogarnąć rozumem swoje szczęście.

On, Steven Buchanan, miał kochającą rodzinę. Następne sto lat zamierzał spędzić, dziękując losowi za tak wspaniały dar. Mógł być z siebie dumny.

Nie słyszał, kiedy fotoreporter wszedł do pokoju. Nie widział błysku flesza.

Następnego dnia Steven, Meredith i dziecko znaleźli się na pierwszej stronie miejscowej gazety. Tytuł artykułu brzmiał „Sylwestrowe dziecko”. Poniżej znajdowało się okazałych rozmiarów zdjęcie śpiącej trójki z podpisem *Duma i radość Stevena Buchanana*.

Artykuł zaczynał się słowami:

*Wygląda na to, że kolejny mieszkaniec Jasper Gulch poznał kobietę swoich marzeń. Dziecko, chłopiec, waży blisko cztery kilogramy, co zważywszy na przedwczesne narodziny, należy uznać za wspaniałe osiągnięcie. Maty Luke jest pierwszym dzieckiem urodzonym w nowym roku. Jego matka, Meredith Warner prowadzi w Jasper Gulch sklep „Ukryte Skarby”.*

*Najwyraźniej ogłoszenie miejscowych kawalerów jest wciąż aktualne. Jeśli któraś z pań czeka na mężczyznę swojego życia, w Jasper Gulch jest sześćdziesięciu kawalerów i tylko garstka dziewcząt na wydaniu.*

*Zaczął się całkiem nowy rok. I, jak widzicie na zdjęciu, czasem marzenia się spełniają.*